

Wydawnictwo Literackie
ul. Pułkownika 1
Lwów

BLUSZCZ

spoleczno-literacki ilustrowany
tygodnik kobiecy



Warszawa,

Solec 87

telefon 2-44-18.

„BLUSZCZ”

społeczno-literacki
ilustrowany tygodnik kobiecy

Ś-to Krzyska 17, m. 3, tel. 6-76-72.

Warszawa,

Ś-to Krzyska 17 m. 3.

telefon 6-76-72.

Redaktorka naczelna *STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW*.
Dział robót pod kierownictwem *JADWIGI KORZENIOWSKIEJ*
Dodatek „Wychowanie i szkoła” pod kierownictwem *WANDY BORUDZKIEJ*
Redakcja i Administracja Warszawa — Solec 87, tel. 2-44-18 i 5-87-05.

KLISZE WYKONUJĄ WŁASNE ZAKŁADY FOTO-CHEMIGRAFICZNE

Treść numeru:

Ankieta „Czy kryzys feminizmu?” — *N. J.* Poezje: List ze wsi — *Helena Pilecka - Przybyszewska*. Dwa imiona — *Marja Kuncewiczowa*. Bohaterstwo wsi powodziowej — *Jadwiga Kraveczyńska*. Piosenka o kalinie — *H. Januszkowska*. Rodowód literacki „Nocy i dni” — *Ludwik Fryde*. Honor Franki — *St. Osińska*. Goslar i nowe Niemcy — *M. Karczevska*. Z ubiegłego tygodnia — *H. N.* Z teatrów — *St. P. O.* Przegląd Prasy. Kobieta w świecie w domu. Ogrodnictwo i Hodowla: Hodowla kóz, źle niosące się kaczki. Ziemia a wpływy atmosferyczne — *Marja Dąbrowa*. Dom i gospodarstwo: Papiery — *Wanda Dobrzańska*. Przepisy kulinarne — *Melba*. Mody i roboty. Kronika harcerska.

WARUNKI PRENUMERATY:

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie — 4.50 zł., kwartalnie — 13.50 zł., rocznie — 54 zł.
Do innych krajów miesięcznie — 5.20 zł. Zmiana adresu — 50 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Solec 87 i Świętokrzyska 17 m. 3.
Konto P. K. O. WARSZAWA Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „Bluszcz”, Sp. z ogr. odp.

Pracownicy umysłowi korzystają z 20% ustępstwa.

WARUNKI OGŁOSZENIOWE:

	zł.
1/1 str. tekstu	700.—
1/2 „ „	400.—
1/4 „ „	200.—
1/8 „ „	100.—
1/16 „ „	50.—
1/32 „ „	50.—

Okładka III-cia

	zł.
1/1 str. okł.	500.—
1/2 „ „	250.—
1/4 „ „	150.—
1/8 „ „	80.—
1/16 „ „	50.—
1/32 „ „	50.—

Okładka IV-ta

	zł.
1/1 str. okł.	600.—

Przy ogłoszeniach seryjnych prosimy o żądanie ofert.

Ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń w kraju i zagranicą, oraz biuro Tow. Wyd. „Bluszcz” — Warszawa, Solec 87, tel. 6-26-44, 2-44-18 i 5-87-05. Cena artykułów reklamowych w tekście wedle specjalnej umowy.

Tygodnik „BLUSZCZ” ze względu na swoje liczne i szerokie sfery czytelniczek, jest doskonałym organem reklamowym dla wielu artykułów z dziedziny zainteresowań kulturalnej kobiety.

Czytelniczki „Bluszczu” powinny nabywać tylko te towary, które zaleca im ich ulubione czasopismo.

Bluszc

SPOŁECZNO-LITERACKI
ILUSTROWANY
TYGODNIK KOBIECY

Ankieta „Czy kryzys feminizmu?”

Nasza ankieta wywołała żywe zainteresowanie wśród naszych Współpracowniczek i Czytelniczek. Zeroszad napływają głosy, zapytania, uzupełnienia, sprzeciw i aprobaty.

Rozpoczynamy dyskusję głosem znanej i cenionej publicystki, dawnej i zasłużonej współpracownicy „Bluszcza”, p. Natalji Jastrzębskiej.

Jakże mi smutno!

Tak byloby dobrze móc zaprzeczyć p. Strzeleckiej, znaleźć nieodparte argumenty na zabicie jej twierdzeń, dowieść w całej rozciągłości, że Sz. Autorka artykułu: „Kryzys feminizmu” nie ma racji.

A tymczasem, jakże mi smutno, trudno to będzie! Muszę się też zastrzec, że przeczyć p. Strzeleckiej pragnę wcale nie z racji feminizmu. Nie, feminizm to brzydkie słowo, którym godzą w nas mężczyźni. Były przecież czasy ich absolutnego panowania, czy wtedy nazywali się *maskulinistami*? Czy była wogóle mowa o jakimś maskulinizmie? Dlaczegoż więc kobiety, walczące o prawa ludzkie, nazywać feministkami, a usiłowania ich feminizmem?

Ale chodzi właśnie o te prawa *ludzkie*.

A tymczasem, cóż pomogą wszelkie dyskusje, kiedy praktyka, nieublagana rzeczywistość faktów wykazuje, że tej absolutnej pełni praw ludzkich kobiety nie mają *de facto*, choć w większości krajów na całej kuli ziemskiej mają je wszystkie *de jure*.

I o to tylko chodzi, o *równość*, a nie o *przewagę*, bo tylko tę ostatnią możnaby słusznie nazywać feminizmem.

Przyznaję i mam wrażenie, że każdy człowiek bezstronny przyzna słuszność p. Strzeleckiej w tem, co dotyczy, doskonale przez autorkę scharakteryzo-

wanych, powszechnych wad przeciętności kobiecej. Wszystko prawda niezaprzeczone: dulszczyzna, gorsza może od dawnej prostej, bo skomplikowana nalożeniem pseudokultury i pseudospołecznikostwa, małostkowość, zawiść, brak poczucia odpowiedzialności i podnoszenie do potęgi byle drobiazgu, zacofanie, ubrane w płaszczyk tradycji. Racja, zupełna i niezaprzeczone. Nie mogę zgodzić się tylko na jedno: na wnioski, wyprowadzone z tych przesłanek.

Pani Strzelecka zapytuje mianowicie: czy może być mowa o krzywdzie kobiety, skoro kobiety stanowią dziś większą część społeczeństw?

A czy murzyni, pracujący w plantacjach nie byli liczniejsi od plantatorów, czy nasi chłopci, za czasów pańszczyzny, nie byli liczniejsi od szlachty? Cóż tu znaczy liczba? Historia wszystkich przemian społecznych stwierdza, że liczba najmniej waży w takich wypadkach. To też nie można się zgodzić, na ukryty w zapytaniu wniosek, że skoro kobiety, mają przewagę liczebną, nie dzieje im się krzywda.

Nie *powinnaby* im się dziać, ale ten tryb warunkowy to zupełnie inna sprawa.

W tej chwili wiemy tylko, że niewola ekonomiczna kobiety i brak dostępu do wyższych stanowisk i prostytutka z handlem żywym towarem (może to i krzywda mężczyzn, ale też to i wina niemala, a chyba nikt nie zaprzeczy, że męska) istnieją i że kobietę krzywdzą.

Więc jakże, zostawić to wszystko? Powiedzieć sobie i drugim, że skoro prawa nominalnie już zdobyte, na papierze, skoro jest równość, to wszystko w porządku?

Że choćby nawet i te małostkowe i niemądre i zacofane „dulskie” i nieodpowiedzialne nie potrafiły być



ludźmi, więcej, nie potrafiły się obronić zmusić strony przeciwne do uznania faktycznego tych praw, to mniejsza o to?

Czemżeż innem, jak nie zastępowaniem tych „małoletnich“, które w kilkunastoletnim zaledwie okresie nie miały jeszcze czasu „dorosnąć w prawach“, jest dzisiejszy, tak zwany feminizm?

Przecież ktoś musi być na stanowisku, bo czasy dzisiejsze, to nawet nie „niewola ekonomiczna“ kobiety, to formalna naganka na nią, zdopingowana kryzysem. Cóż to jest bowiem innego sławetna akcja łódzka, przybierająca dewizę: jedna pensja na jedną rodzinę, a zaczynająca od rugowania mężatek i szperania w stosunkach majątkowych kobiet (a dlaczego to nie mężczyźni!?) pracujących.

Czy to jest też tylko wada ustroju, „w którym wszystko bez wyjątku ma wartość wymienną“?

W sprawie zrównania praw kobiety, uznania jej za pełnowartościowego człowieka zrobiono już wiele. Nikt nie może powiedzieć, że kobiety nie zasłużyły się swojej sprawie, że nie walczyły o nią. Przeciwnie ich to zasługa, mniejsza, czy ich ogółu, czy tylko tych wyjątków, dosyć przecież licznych, mających potwierdzać regułę, tezę, postawioną przez p. Strzelecką. Że kobiety w tej walce musiały używać argumentów o wyższych wartościach świata kobiecego, że ich może nadużywały? Boże drogi, jakich argumentów nie używa się i nie nadużywa w propagandzie różnych idei.

Faktem jest i pozostanie, że ten wyśmiewany feminizm doprowadził jednak do olbrzymich rezultatów, do zmiany odwiecznych, zmurszałych ustaw, do zniesienia niewoli, małoletniości i upodlenia kobiety w prawach większości państw.

Jest to bardzo a bardzo wiele, ale nie jest wszystko i nie wybiła dziś bynajmniej godzina, w której kobiety mogłyby spokojnie spocząć na trofeach zdobytych i powiedzieć sobie: od dziś niema feminizmu, jest niepotrzebny. Jeżeli są jakieś krzywdy ustroju społecznym, to są one tylko ogólnoludzkie, a nie kobiece specjalnie.

Nie, ten czas nie nadszedł, sprawa kobieca nie stała się wcale „rzekomą“. Jest ciągle, bardzo istotna i ważka.

Pani Strzelecka twierdzi, że „najlepsza droga do obalenia krzywd kobiecych prowadzi przez wychowanie lepszego, nowego człowieka“. Nic niema prawdziwszego, tylko jak to zrobić? Szermierczynie sprawy kobiecej nie mają na to, zdaniem Sz. Autorki, czasu, zajęte bronieniem feminizmu. Ech, czyżby? Mam wrażenie, że mają trochę czasu jeszcze i że go z najlepszą wolą i całym wysiłkiem używają na wychowanie swoich dzieci w swoich zasadach. Ale wychowanie domowe to tylko jeden z czynników, kształtujących psychikę ludzką i wcale nie jedyny. Ileż razy widzimy rozrzutników w dzieciach ludzi oszczędnych, radykałów, których rodzice byli fanatycznymi konserwatystami i vice versa i vice versa! Prawie możnaby postawić hipotezę, że działa tu prawo kontrastu i że pewna wrodzona przekora młodych w stosunku do starszych kształtuje przekonania naodwrot.

W dodatku rodzice, wiadomo, w większości wypadków nie są doskonałymi wychowawcami. Samo więc postawienie zasady, że wychowanie lepszego człowieka zniesie krzywdy kobiet, należy do tych postulatów, które, najsluszniejsze w teorii, chybają w praktyce. Zupełnie tak, jakby ktoś powiedział: wychowajcie dobrze młodzież, a wszelka krzywda, ucisk, grzech i nadużycie znikną z powierzchni ziemi.

Ależ tak, w teorii po trzykroć, po stokroć tak, a w praktyce?

W praktyce znacznie wpływać dziesiątek innych czynników, wychowanie stanowi bowiem tylko przygotowanie do życia, a nie jest życiem samym.

Z natury rzeczy więc działać musi wpływ, na dorosłych, na już wychowanych. I tu właśnie nacisk największy położycyby trzeba na kobiety, na to, aby pozbyły się tych wszystkich wad, które u nich tak słusznie stwierdziła pani Strzelecka.

I mniejsza nawet o te, które, jak zaznacza Szan. Autorka, „podkpiwają ze świata kobiecego“, bo nie dostrzegają różnicy ze światem męskim. Te są jeszcze bardzo młode widocznie, ale przekonają się prędko. Gdy im ofiarują połowę zarobku mężczyzny za te same co jego kwalifikacje, a nie będzie komu dodać im reszty, zobaczą różnicę. Gorzej i trudniej jest z wadami światka kobiecego. I tu powrócić musimy do krytyki pani Strzeleckiej. Kryzys feminizmu, czy sprawy kobiecej? I tak i nie. Jeżeli chodzi o sprawę samą, nie, jeżeli o duże rzesze kobiet, słabo, lub wcale nie rozumiejących istoty rzeczy, to tak. Bo te różne gąski i różne panie Dulskie i różne historyczne pseudospołeczniczki, zawsze niezbyt miłe, dziś stają się już nieznośne i już naprawdę to, co można było wybaczyć uciśnionemu kobieciećku, nie jest do wybaczenia obywatelce.

Trzeba więc pracować nad wypaleniem tych wad i drogą wychowania młodzieży i drogą samowychowania i ciągłej, ścisłej baczości, jak to wszystko postępuje, ale aby to przeprowadzić, trzeba jednak mówić o sprawie kobiecej. Nie można zawrzeć jej w samej krytyce, w stwierdzeniu, że kobietom dużo brakuje do doskonałości. To zamało. Bo jeszcze i o jednym należy pamiętać, że te prawa zdobyte, to rzecz młoda, bardzo historycznie młoda, a idąca istotnie dosyć daleko. Otóż wiemy z doświadczenia dziejowego, że wszelkie liberalne prawa ulegały reakcji. Pani Strzelecka sama stwierdza istnienie tej reakcji u młodych, które są już, jakże prędko, przeciwniczkami feminizmu. A dalej? A wszystkie kryzysowe zakusy na pracę kobiet? A ciągle powracająca sprawa, okryta znów naukowym płaszczem, innego systemu szkolnego, a koedukacja, która liczy tylu przeciwników? Gdzież tu miejsce na logiczne twierdzenie, że już niema krzywdy kobiecej?

Jest niestety, a może być większa, jeżeli zamknijemy same sobie drogę do tych reform, które jeszcze należy przeprowadzić, jeżeli powiemy sobie, że należy podtrzymywać „kryzys feminizmu“.

Na krytykę, więcej, na silną reakcję przeciwko wadom i błędom zawsze powinno być miejsce, ale musimy przecież zrozumieć, że co innego ludzkie błędy, a co innego prawa wolnego człowieka. N. J.

Wandzie i Ewie.

List ze wsi

Piszecie:

..w Warszawie przyjemnie jest w zimie
przyjedź! Elektorowicz gra w Simie,
będą bale: „Kresowy“, „Caritasu“, „Latarni“.
Możesz do sukni zeszłorocznej czarnej
dokupić sortie ze złotej lamy.
Przyjedź, wszyscy na ciebie czekamy.
— A ja mam dużo kłopotów:
indyki są po dwa złote,
prosięta nie mięcej
i skądże wezmę pieniędzy
na upragnioną Warszawę
na teatry, na zabawy.
Zboże „na leb“ staniało

rok był zły, sypie mało.
Wasze cztery tramwaje, a moja złotówka
przedstawia u nas na wsi poważną gotówkę.
Cóż dopiero myśleć o balach i sortie;
nie przyjadę, przyjeżdżajcie Wy.
Na wsi jest teraz cudnie,
skrzą się słoneczne południa
na polach pełnych śniegu.
Lecę szalonym biegiem
w tę biel, w to słońce na nartach.
Świat jest piękny, żyć warto!
Łatam zającami futro
— życie zaczyna się jutro!



Ogród w zimie.

(Fot. Poddębski)



Adam: — Ach przestań, Adziu...

Róża: — Adziu, Adziu...

Wielekroć powtórzyła to imię, za każdym razem nadając mu inny ton uroczystego, karykaturalnego brzmienia.

Adela, Adeline — to było imię, które nadała jej ciotka Luiza dla względów prestiżowych. Pamiętała dobrze ten dzień.

Jesienią w niedzielę szły z ciotką na obrzędowy spacer do Łazienek — placem Wareckim, ulicą Szpitalną, Bracką, Alejami... Dorożki i kabriolety turkotały odświętnie w powolnym, dostojnym rytmie po wyboistym bruku. W pojazdach w głębi piętrzyły się



...szły z ciotką na obrzędowy spacer do Łazienek...

damy i dziewczynki, szumiące od krochmalu, od jedwabiu „liberty“ i od ostrowłosej, sztywnej wełny Panowie w cylindrach i w melonach tkwili bokiem na przednich ławeczkach.

Od czasu do czasu powolne tempo ekwipażowej procesji przerywał tętent rysaków, pomiędzy senne fiakry, nadąsane faetony i żalobne landa wpadał powóz, zaprzężony w parę czarnych ogierów z długimi chwostami, o piętych w lukowate dugi, prowadzonych przez watowanego kuczera. Stójkowi po rogach ulic tężeli na baczność, między przechodniami przewiewał lodowaty podmuch nienawiści i zgrozy. Środkiem zaś jezdni — wymijając melancholijne pudła — przemykała wśród brzęku zbyt uciążliwej uprzęży jakaś generałsza, czy policmajstrowa. *Tante Louise* ściągała wtedy usta w gwiazdkę, patrzyła przed siebie w jeden punkt i cedziła przez zęby:

— Nie gap się, nie trzeba się rozpraszać, Rosalie.

Rosalie jednak z zachwytem i utęsknieniem śledziła — póki nie znikł — radosny bieg klusaków.

Tak zaszły aż do Łazienkowskiego parku i zaczęły z górki podążać majestatycznie ku Okrągłakowi, gdzie sprzedawano pierniczki. Z ramion *tante* spływała pluszowa mantyla koloru marengo, podbita atlasem. Z pod obwodu sukni wyzierał rąbek haftowanych pantalonów i takieżę halki. Wszystko to szumiało, jak słomiany chochoł, a trzewiki prunelowe skrzypiały.

Róża raz i drugi spojrziała z boku na *tante* i poczuła raptem, że policzki jej drgają, że zaraz roześmieje się do rozpuku. Przytem ciotka kroczyła tak drobno i tak szanowny miała wyraz twarzy. Róża wiedziała, że zapanowanie nad potrzebą śmiechu nie udaje się jej nigdy, że nie uda się i teraz, że ciotka wpadnie w irytację, w zdumienie i że powodów śmiechu nie sposób będzie wytłomaczyć. Cóż miała robić? Poderwała się i trącając obcasikami kamyczki, osypując żwir, pobiegła, runęła, pofrunęła z górki w ludną, tłoczną aleję.

Tante przeraziła się. Nie rozumiała, co się stało z bratanicą, krzyknęła, pobiegła kilka kroków, zatrzymała się i w popłochu zaczęła wołać: „Róziu, Ró-

ziu, moje dziecko, co tobie?“ I wtedy to właśnie stała się ta rzecz — w mniemaniu ciotki Ludwiki — głęboko zawstydzająca, bolesna, rzecz nie do odżalowania.

Spacerowicze podwracali głowy za pędzącym podlotkiem, łapali wzrokiem wyprężone w locie kruczo-czarne warkocze, słyszeli rozpaczliwe okrzyki „Róziu, Róziu“ — i popadli w niepokój. „Co? w niedzielę? przedpołudniem w Łazienkach? au rendez vous eleganckiej Warszawy rozbija się, potrąca szanowną katolicką sosjetę kruczowłosa Rózia?

— Rojze! Rojze! stój, bo majtki zgubisz — zaryzykował obrócić sprawę w humor grubas ze złotą dewizką. Inni wszakże przechodnie nie byli skłonni tak łatwo puszczać plazem wybryku intruzki. Odezwały się głosy:

— Do czego już dochodzi! obraza boska! Nawet tu w Łazienkach schronienia niema przed parchami! A na Nalewki zpowrotem! do ogrodu Krasińskich! Cóż to za zuchwalstwo! I to w niedzielę, suma jeszcze się odprawia u św. Krzyża, a tu Rojza kudłami swojemi potrząsa!

Ludzie postawali, ktoś warknął:

— Złapać i do rewirowego odstawić, niech prowadzi do cyrkulu! Bo to nawet bezprawie — tu żydom nie wolno.

Młody porucznik, który właśnie, ciągnąc za sobą szablę, z szykiem nisko opuszczoną na rapciach, nurkował wzrokiem wśród panien — kontent z pretekstu do zbliżenia z zawziętym tłumem Polaków — poskoczył, zagroził drogę Róży i chwycił ją w objęcia. Róża — roześmiana, zupełnie nieświadoma złowrogiemu efektu swojej eskapady i swego imienia — na-



...musiała odmówić różaniec i przepisać 5 trenów Kochanowskiego...



...— Przebacz, Rózo moja... Rózo mego serca...

wet nie zachnęła się, uczuwszy męskie dłonie na ramionach. Wesola twarz porucznika wydała się jej znajomą, od chłopca powiało Taganrogiem, perfumami Juli, czemś zupełnie niestrasznym. Z ufnością patrzyła w oczy roześmianymi oczami. Porucznik stropił się.

— Da razwie eto jewrejka? — bąknął, oglądając się niepewnie na wzburzonych panów wokoło.

Ale już *tante* Louise nadbiegła w skrzypiących prunelkach. Cała płonęła z gniewu, parasolką o bardzo wysokiej, cienkiej rączce uderzyła porucznika w ramię i krzyknęła:

— Puść pan natychmiast to dziewczę! A eóż to znaczy, na Boga? *Il y a encore des juges à Varsovie*. Ja na pana sprawiedliwość znajduję. Cóż to, moi państwo — rczejrzała się władczo po otoczeniu — moskiewski żołdak napastuje polskie dziewczę, a państwo milczycie? Czyż już do tego stopnia Polska spodłala w niewoli?

Porucznik — zupełnie zdezorientowany — puścił Różę i szybko odszedł, mrużąc:

— *Jechidnyja Polacziszki*, czort nogę z wami złamie...

Róża — już nieco spłoszona — skubała chusteczkę, ciotka wzięła ją pod ramię:

— Chodź, dziecko, i trzymaj się mnie! Dziewczę polskie nie może dziś już liczyć na honor rodaków.

Publiczność pierzchała, wielce skonfundowana, jeden tylko grubas z dewizką — z początku taki polubowny — odszczeknął:

— Imość matronę polską kroisz, a wnuczkę Rojzą ochrzciłaś! „Polska, honor Polaków!“ i tu raptem — Rojza... Tfu, z taką rodaczką! — podejrzliwie przyglądał się Luizie.

Wieczorem tegoż dnia — o, jakież ciężki to był dzień, ciotka całe popołudnie modliła się i płakała,

krople laurowe kilka razy były w robocie, niedzielna kawa z kożuszką pozostała nietknięta, Róży zabroniono wyjść do koleżanek, natomiast musiała odmówić różaniec i przepisać 5 trenów Kochanowskiego — wieczorem tegoż dnia *tante* wezwała ją do siebie, dźwignęła się ciężko z klęcznika i zarządziła:

— Moje dziecko, zadaj kanarkowi siemienia i kładź się na spoczynek. A od jutra wołać cię będę Adéline. Róża... tu w Warszawie całe Nalewki rozbrzmiewają tem ordynaryjnym imieniem. Nie życzę sobie, aby córka mego brata (tylko nieokrzesany i krótkowzroczny gbur mógł wziąć cię za moją wnuczkę), aby wnuczka kapitana włoskich legjonów — była uważana za Izraelitkę! Trzebaż rzeczywistości lekkomyślności tej Sophie, aby takie imię dać polskiemu dziecięciu!

Ale Michał nie zgodził się na „Adéline“.

Nawet później w Petersburgu, gdzie M-elle Adéline Żabczinskaja, jako Róża nikomu nie była znana — kiedy spotkali się poraz ostatni na chóрку kościoła Św. Anny — on, drżący w lisiej szubie (dar ślubny przeklętej kursistki) — ona blada i zimna, jak marmur — Michał szeptał:

— Przebacz, Rózo moja.. Rózo mego życia... Najśliczniejsza, jedyna moja Rózo, przebacz nędznikowi. I żegnaj.

Adam od początku mówił: „Panno Adelino“. Potem jednak już — zawsze: Adziu. Dwa imiona — dwa życia: pierwsze — krótkie i prawdziwe; drugie — wymyślone, długie, nadto długie... Pierwsze — kwiat, miłość, hańba i nieszczęście. Drugie: bilecik wizytowy ze złocym brzegiem, szacunek ludzki, honor, pozwolna śmierć duszy.

Marja Kuncericzowa.

Bohaterstwo wsi powodziowej

Gdy kierownik akcji aprowizacyjnej dla powodziaków, z którym omawiałam sytuację w województwie krakowskim, i naciskałam go niepokojącymi pytaniami, powiedział mi z łagodnym uśmiechem:

— „Ręczę pani, że nikt z głodu nie umrze“... — odczułam to, jako oswojenie się z niedolą.

Czyż tylko od śmierci głodowej możemy i musimy ocalić tych biedaków? Czyż nie więcej ponad wyliczone dekagramy mąki, kaszy, kartofli i gramy słoniny społeczeństwo im dać nie zechce? Nic więcej nad starą koszulę i polatane buty? Prostu, jak to mówią „zatkało mnie“ i nie znalazłam słowa odpowiedzi.

Od czasu tej rozmowy minęło jednak kilka tygodni, które spędziłam właśnie wśród powodziaków, w różnych okolicach nad Wisłą i nad Dunajcem, we wsiach, na nizinie i we wsiach górskich... I niejednokrotnie przychodziło mi do głowy to drażniące słowo: „z głodu nie umrą“... I słyszałam je coraz inaczej, wymawiałam je sama z coraz innym akcentem...

Dlaczego? Oto w zetknięciu z rzeczywistością, bezpośrednio z dolą wsi, na widok powodziaków, ocaleń od śmierci głodowej wygląda zupełnie inaczej, a cynizm takiego traktowania akcji ratunkowej łagodnieje i staje się zrozumiałym...

Nędza wsi powodziowej jest tak wielka, iż wydaje się w obliczu tej całej biedy, że nie umrzeć z głodu, że odziać się jakakolwiek ciepłą odzieżą, że nie spać na gołej ziemi, że nie paść z pustym żołądkiem

i boso — jest dobrodziejstwem nad miarę.

Są wsie, gdzie 200, 300, 500 osób pobiera żywność już od kilku miesięcy i będzie ją dostawało do końca zimy, gdzie jedna wieś powodziowa styka się z drugą, gdzie powiat dokarmia 25.000 ludzi, 15.000 ludzi, 10.000 ludzi i tak dalej — aż urasta ta ilość głodnych do przeszło 100.000 dorosłych i dzieci! Nie jest więc błahostką nakarmić te rzesze — nie jest małym darem społeczeństwa i rządu dać im jeść, jeżeli nie do syta, to choćby tyle, by... nie pomarli z głodu!

Widziałam jeden po drugim magazyny, do których władzowano niezliczone wory z żywnością, zapasy kaszy, fasoli, słoniny, nawet i cukru! (tylko dla dzieci i to mało), solą, tak upragnioną na wsi, i t. d. widziałam sznury wozów i furmanek, wiozące po parę „metrów“ kartofli na spożycie i sadzenie, sznury wozów z mąką i żytem. Widziałam łańcuchy wagonów, wiozące belki jodłowe na budowę zabranych przez wodę domów i osiedli, wagony desek i cegły, wagony z workami siniego cementu, wagony z węglem i drzewem na opał — wszystko dla powodziaków! Widziałam sterty olbrzymie siana i słomy na przeżywienie koni i bydła, bez którego powodziaków nie mógłby odbudować i podnieść swego gospodarstwa.

Do chaty, w której woda nie pozostawiła nieraz żadnego sprzętu, dosłownie ani łóżka, ani stołu, ani garnka, gdzie zamulone ściany obrzękły wilgocią, zgniła podłoga i zapadł się piec — ognisko domu, do tej nieszczęsnej chaty wkroczyła pomoc. W tych wa-



Grupa powodziaków.



...Tyle drobiazgu...



Odbudowa zniszczonej chaty.



Praca przy sypaniu wałów.

runkach potrzebna była właśnie ta najprymitywniejsza pomoc, ta przedewszystkiem, która z głodu umrzeć nie pozwala!

I jeżeli dziś w ubogich osiedlach, nad rzeczkami i potokami, których nikt nie spamięta, komu nie wyraziły tak okropnych krzywd, jak tegorocznym powodziom, jeżeli tam ludzie nie tylko nie umierają z głodu, lecz mogą już gotować sobie ciepłą strawę (15.000 pieców runęło podczas powodzi, a naprawiono już około 10.000), naprawili dach nad głową (uszkodzonych było 16.000 domów mieszkalnych i budynków gospodarczych), nieraz nawet postawili nowy dom na miejscu dawnego, który woda doszczętnie zabrała (było takich 880!), jeżeli w izbach położono podłogi i postawiono łóżka, jeżeli dzieci mają jaką taką odzież i (niezawsze) buciki, by mogły chodzić do szkoły, gdzie dostają specjalne, lepsze, niż w domu, śniadanie, ciepłą zupę, chleb, mleko, kawę z cukrem, jeżeli taką mniej więcej pomoc dano 65.000 dorosłych i 35.000 dzieci (te z najgorszych warunków zabrano w liczbie 1.200 na kolonie zimowe), to akcja pomocy dla powodziom nie jest rzeczą małą, musi być oceniona poważnie i można o niej mówić nawet z dumą.

Wytrwałość w ofiarności społeczeństwa i w organizacyjnej pracy Komitetów Pomocy, jest wyjątkowo dodatniem zjawiskiem.

Ale i druga strona tej sprawy przedstawia zdumiewający obraz: *bohaterką postawę samych powodziom wobec ich własnego nieszczęścia.*

Pomoc rządu i społeczeństwa niewątpliwie podniosła ich na duchu, lecz całą, olbrzymią pracę wykonali sami: koło uporządkowania swych gospodarstw, odbudowania lub naprawy domostw, koło uprawy zniszczonych pól i zasiewów jesiennych (dokonanych w 90 proc.), przy odbudowie dróg, mostów, sypaniu wałów, zwózce budulca i zapasów żywności z odległych nieraz o 20—30 km. dworców kolejowych i magazynów powiatowych. Oceńmy tę nieustanną pracę gospodyni, która w domu i w polu, koło dzieci i dobytku żywego, musiała z brudu i zniszczenia powodzi doprowadzić własnymi rękami wszystko do ładu i porządku!

Nie myślimy, że powodziom wszystko dostają zadarmo. Te miliony, które składa społeczeństwo i rząd, nie wystarczyłyby na to. Świadczenia takie, jak żyto na zimę, jak drzewo i cement do naprawy domów, powodziom dostają — o ile nie mogą ich kupić po bardzo zresztą niskich cenach — *za odpracowanie.*

Tę formę pomocy przyjęli naogół chętnie: „odpracowują” w swoich gminach, sypanie wały, naprawiając drogi i mostki, są to więc roboty publiczne dla ich własnego wspólnego pożytku. Przy pracach tych widać równie wiele kobiet, jak mężczyzn. (Kobieta wiejska jest w najcięższych pracach najzupełniej „równouprawniona”, jeżeli nawet nie miewa prze-

wagi...) Z tego „odrobku” powodziom rosną dziesiątki tysięcy dni roboczych, użytych na naprawę szkód w gminach.

Na poważniejsze odbudowy powodziom dostają pożyczki bezprocentowe, spłacane w ciągu kilkunastu lat, na mniejsze odbudowy — kredyty dwuletnie.

Narzekań i lamentów słyszałam wśród powodziom mniej, niżby się można spodziewać... Nie dlatego, by im było tak bardzo dobrze i łatwo, by czuli się zadowoleni i szczęśliwi, lecz jest to poprostu chłopski upór, tężyzna i fatalizm zrezygnowany, który *niczego się nie boi, bo wie, że najgorsze nawet przetrzyma i pokona.*

Chłop żadnej pomocy nie zmarnuje: można być pewnym, że każdy grosz, wydany na odbudowę powodziom, każde ziarno, dane na zasiewy, każdy kartofel dla ludzi czy inwentarza, każda koszula czy sweter na odzianie powodziom, każda ofiara jest potrzebna i przydatna. Powodziom warto jest pomagać! W ich pracowitych rękach każdy dar, każda pomoc obraca się w pożytek, rośnie w stokrotną wartość...

Nawet chłopskie wady, chłopska chciwość, zachłanność i skąpstwo, chłopski niski „standart” życiowy i prymitywizm kulturalny, te ujemne cechy naszej wsi, napelniają nas szacunkiem i podziwem, gdy patrzemy na nie poprzez walkę, jaką zrujnowani powodziom toczą ze swym złym losem. Tym ludziom warto pomóc — trzeba im pomagać!

Jadwiga Krawczyńska.



Rozwalone palenisko.



...rude, tłuste kaczki...

Piosenka o kalinie

Limburgja.

Kraj jest cichy. Domy o białych ramach okien mają kryształowe szyby. Świecą wybłyszczone klamki drzwi. Przypomina się to najwcześniej zapamiętane „budownictwo”: na dziecinnym stole. Domek, ogródek, drzewko, kwiaty. „Śliczne” okiennice kolorowe. I zdaleka to tak wygląda naprawdę: tylko liście są prawdziwe: rude i złote. Jesienny szum opadania. Lecą na wszystko: na drogi gładkie jak najpiękniejsze jezdnie miasta, na domy, na kanały, gdzie je pchają przed siebie rude, tłuste kaczki. Jest tak spokojnie, jakby się nie działo. Wiatraki stoją. Tak: gdyby wielkie, czarne śmigły ruszyły, przypominałoby się niejedno, co nie jest podobne do odpoczynku i ciszy

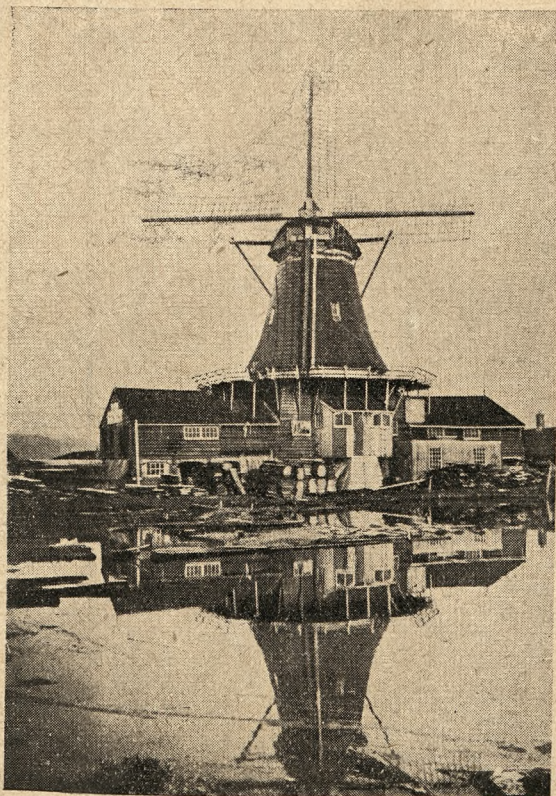
przelewanie wód, wyszarpywanie po kawalku, po odrobinie ziemi. Ziemi! Za wszelką cenę: trudu lat, nieustannej pracy. Ach, i to jeszcze, że kiedyś ci „spokojni” podnieśli tamy i woda zalała przed wrogiem zdobytą najwyższą wysiłkiem ziemię. To było dawno. Dziś tu cicho. Dostatnio. I pięknie. W rudych od liści lasach, jak grzyby siedzą owe „dziecinne” domki. Dobrobyt zacisza. Spokój. Kiedyś, gdzieś, na setnym kilometrze za wielkim miastem, gdzieś ku południu ziemia wygina się w pagórki, odczuwa się niepokój. Oczy przywykłe do łagodności równiny gubią się w małych wąwozach. Wiatraki stoją groźne, wysokie, oparte na skarpach, nad które się wydzwigują, jak fortece. Powietrze jest inne: czystość, słonawy, morski wiatr — tak: — to znikło. Na ustach, na oczach osiada czad. Znany zapach: — tak jest na dworcach kolejowych przy syczących lokomotywach. To węgiel.

Węgiel! Ziemia rozdarta, aż do czarnego wnętrza Roboty. Czarna robota. Człowiek, którego się mija, tylko część życia spędza nad ziemią. Górnik. A potem, gdy się stanie w małym schludnym mieście, widać zza kolejowych ramp wielkie, dymiące czarna sadzą dzbany. Koksownie. I cudackie, obromne budowle kopalń. Jakże tu jest inaczej, niż tam, na północy.

Wchodzi się do jakiejś sali i nagle w oczach zaczyna migać: czerwono, bialo, czerwono, bialo. Ach, tak: salę przybrano wstążkami. Bialy i amarant. Mój Boże!

— Dzieńdobry! — Dzieńdobry! — Tak: tu są Polacy.

Daremnie było ich szukać w łagodnej krainie północy. W tym „kwiatostanie”, w domkach, jak z pogodnej bajki. O, tak: tu przecież musieli trafić! Ich twarde, dzielne ręce chwyciły się tej „roboty”, która dławi kurzem węgla i zetraca człowieka w podziemnych ciemnościach. Będzie obchód narodowy. Rocznica Niepodległości. Jakże inaczej, jakże ważko brzmi to tutaj, daleko. Brzmi, jak dźwięk, który, można łatwo przez życie pokolenia zatracić, lub wzmocnić do potęgi. Polska! Polska! Idzie się do kościoła. Razem z chorągwiami. „Módl się za nami Królowo różańca świętego”... Idzie się za zastępem dziewczynek o białe aramantowych szalach na szarych mundur-



...Wiatraki stoją...

kach skautek. „Druh“ wola: — Baczność! — Spoznij! — O, jakże to brzmi! Odwykło się od tych słów. Syci się tą mową, która jedno słowo rozciąga, jak ton kołysanki, innemu każe dźwięczeć, jak stali.

Kościół był wielki. Jasno oświetlony: — Królowo Korony Polskiej... Tak: jakże jesteście daleko! Chorągwie chyliły się. A potem wszyscy wstali. Bo śpiewano: „Ojczyznę pobłogosław“. I grube męskie głosy, i cieńsze kobiet i cieniutkie tych dziewczynek w skautowskich mundurkach. Trzeba było coś zrobić ze łzami: rozglądać się po wielkich witrażowych oknach, aby zgubić, zatracić wzruszenie.

Ale potem, kiedy się wróciło do przybranej sali, zrobiło się znowu wesoło. Były śpiewy, była muzyka. I przedstawienie. Dzielny „druh“ śpiewał przy autentycznym ognisku piosenki. Cały zastęp z nim. Bravo! Wszyscy klaskali, aż dudniło. Wielki był gwar. Potem — referat. O tem, jak do tego przyszło, że jest Polska. Zdania było ozdobne. Pracowite. To przecież wielki temat. Tylko te dzieciaki, których było pełno na sali, wrywały się coraz to głośniejszym świegotem. Nic to wszystko! Można się było nalykać tej polskości, nabrać jej w siebie na długi czas, kiedy tego wszystkiego koło nas nie będzie.

Kobiety mówiły też: nie z estrady, jak mówca, a zwyczajnie: rozmawiały. O tem, że tu jest tyle pracy. A trzeba „pamiętać“ za cały dom. Skąd się wyszło, gdzie się naprawdę „przynależy“. Że trzeba się trzymać razem, w skupisku. Razem! „Oni“ („ci mężowie“) byli w tej rozmowie naprawdę mało ważni. Może to była stronniczość. Mówiło się tylko: „Dom“. „Dom“ i „dzieciaki“. Proszono o książki, o pisma. Tak: „oni“ „przychodzą“ do domu. Ale „matka“ zawsze jest. Od rana do wieczora. Od wieczora do rana. Z nią się gada, ona jest blisko „pod ręką“. Z nią najwięcej trzeba żyć. Zwyczajnie: nie od święta, nie od „fajerantu“. Jakież



Oude gewoone straat in Amsterdam.

Stary dom w Amsterdamie.



...Wiatraki groźne, wysokie, oparte na skarpach...

były miłe: dzielne, buńczuczne i wesołe. Aż dziw brał i tak się gadało pod orkiestrą, co grała wesoło, z amatorska.

Potem rozmawiał „druh“. O tem, jak to będzie, kiedy i chłopcy zostaną umundurowani. O mundurach mówiło się dużo. Dziewczynki już je mają: uszyła tanio jedna „niewiasta“. Wiadomo przecież, co to znaczy mundur, jakie to ma konsekwencje. I namiot też muszą mieć: na obozy, na wycieczki. Namiot nie gorszy, a może lepszy (O szowiniźmie! Szowiniźmie!) jak holenderska drużyna. Jakże zaraźliwy jest zapach! Chce się tak bardzo, żeby już były te mundury. I namiot, Koniecznie! Zaraz!

Zboku przysłuchiwał się nauczyciel. Wysoki. Głos miał łagodny i dźwięczny.

W szkole wydawał się jeszcze wyższy, kiedy stał wśród niziutkich ławek. Ach nie, nie gniewał się. Tylko wstydził tych, co to lepiej po holendersku, jak po polsku czytają. Ale kiedy się ma osiem lat, to tyle naraz trudno się nauczyć. A kiedy trzeba przeczytać słowo: „gospodynie“ to też można się pomylić, bo przecież po holendersku się czyta „ie“, jak samo „i“. Bieda. Potem trzeba pisać. Pisało się białą kredą na czarnej tablicy nad podziw dobrze: „Łapki“. „Gołapki“. Tylko Wanda („jasnooka“, przetowłosa) w sztywno nakrochmalonym fartuszk napisała: „gołapki“. Ale zaraz starła i poprawiła „p“ na „b“. Zarumieniła się, jak wiśnia. Nauczyciel łagodnym ruchem położył dłoń na jej głowie. Wreszcie były śpiewy. Jakże ładne i świeże! Nauczyciel spytał: „Dzieci, co chcecie śpiewać?“ I wtedy rozległo się ze wszystkich stron: „O kalinie!“ „O kalinie!“ Śpiewali razem, idąc za dźwięcznym głosem nauczyciela. I zrobiło się znowu dziwnie: bo coś było w tej piosence, czego nadarmo szukało się w tym łagodnym kraju, gdzie nic nie słychać o wojnie i śmierci. Było coś o lesie i o kimś, co w tym lesie zginął.

— „a ka-li-na, jak ma-tu-la
swe-mi liść-mi go o-tula...

Głosy dochodziły, jak szum zdaleka uderzający o kominy Limburgji, o okna szkoły. Wędrowna piosenka. O czemże chciały śpiewać „limburskie“ dzieci? O wojaku zabitym w lesie. Przywołały piosenką całą polską sentymentalność — pół żołnierską, pół leśną.

Nad ławkami widać jasne głowy i usta śpiewające (A ka-li-na, jak ma-tu-la...).

Wzruszenie, które ścisła gardło, nazywa się zwyczajnie tysiąkroć wyświechtanymi słowami: „miłość ojczyzny“.

H. Januszewska.

Rodowód literacki „Nocy i dni”

Powieść Marji Dąbrowskiej podejmuje jedną z najpiękniejszych tradycji naszej literatury. W dobie gwałtownych przewrotów we wszystkich dziedzinach życia zwraca nas ona ku spokojnej przeszłości, aby poprzez cofnięcie się w czasie ujawnić te czynniki, które nie ulegają jego przemocy. Trzykrotnie w ciągu ostatnich stu lat podejmowano taką próbę: po raz pierwszy w „Panu Tadeuszu”, następnie w „Nad Niemnem” i wreszcie po raz trzeci w nawiązujących do tej tradycji „Nocach i dniach”.

Trzy te utwory, prócz wyraźnego pokrewieństwa w artyźmie, zbliża do siebie podobieństwo postawy ideowej. Powstawały one w okresach kryzysu kultury i zgodnie zwracają się przeciwko jej przerostom, rehabilitując *naturę*, jako nieziszczalną i wieczną podstawę ludzkiego życia. Gdy bowiem kultura w swych schyłkowych formach wiedzie do pewnego chorobliwego przerafinowania — natura to prostota i zdrowie. Człowiek o wysokiej kulturze jest zazwyczaj teoretykiem, intelektualistą i relatywistą — postawa naturalna przeciwstawia temu praktyczną trzeźwość i żywiołową bezpośredniość instynktu. Rozwój kultury prowadzi nieuniknienie do kosmopolityzmu — natura jest synonimem takich wartości, jak rodzimność, ludowość i narodowość. I wreszcie nowoczesną kulturę cechuje miejskość i skolei, jako przeciwieństwo tego wysuwa się wieś, ziemia. Cały ten schemat przeciwieństw pojawia się w literaturze z zastanawiającą regularnością.

Więc najpierw „Pan Tadeusz”. Czas powstania tego poematu przypada na niespokojny okres burz i przewrotów społecznych. Szeroko rozlegały się w Paryżu lat trzydziestych echa wielkiej rewolucji i wojen napoleońskich. Załamały się już podstawy dawnego ustroju, a nie zarysował się jeszcze nowy porządek rzeczy. W tym okresie „między przeszłością a przyszłością” Mickiewicz odwrócił się od chwili bieżącej ku światu swego dzieciństwa, znajdując w tym ukojenie i równocześnie dochodząc na tej drodze do prawdy życia, do samych nienaruszalnych podstaw ludzkiego bytu.

Spójrzmy na „Pana Tadeusza”: od pierwszego rzutu oka odślania się w poemacie szeroko rozwinięty schemat tradycyjnego kontrastu. Cała grupa postaci reprezentuje nowoczesną cywilizację a raczej karykaturę tej cywilizacji. Oto Telimena, kosmopolityczna kokietka,

nudzająca się na zapadłej wsi, zdala od ukochanego Petersburka. Oto Podczaszyc, bezmyślnie, papuzio naśladowający zmienne mody zagraniczne. Oto Buchman, którego doszczętnie ogłupilo rozczytywanie się w cudzoziemskich książkach. I wreszcie — Hrabia, druga ofiara lektury, śmieszny i żaloszny marzyciel.

Wszystko, co w bohaterach „Pana Tadeusza” jest cenne, nie płynie ani z książek, ani z cudzoziemskich wzorów, lecz z natury, z rodzimej tradycji i z instynktu rasy. Patrjarchalność Podkomorzego i Sędziego, prostota i prawda uczuciowa Zosi, żywiołowa siła szlachty dobrzyńskiej — oto wartości, które poeta przeciwstawia szychowi czezej i jałowej cywilizacji.

Po kilkudziesięciu latach od chwili pojawienia się „Pana Tadeusza”, ukazuje się powieść Orzeszkowej „Nad Niemnem”. I znowu znajdujemy się w okresie kryzysu kultury. Dumna ideologia pozytywistyczna załamuje się; pod jej płaszczkiem zaczyna się krzewić zwykle groszorbstwo i sobokostwo. Wśród oszalamiającego postępu cywilizacyjnego dają się wyczuć pierwsze poddmuchy pesymizmu i schyłkowego znużenia. I jednocześnie, w opozycji do strupieszalego, mieszczańskiego pozytywizmu — zaczynają kielkować nowe prądy: ludowość, socjalizm i nacjonalizm, których pierwszym organem jest „Głos”, gdzie pierwsze kroki stawiają Kasprowicz i Żeromski.

„Nad Niemnem”, mimo swego sielankowego charakteru, daje doskonale odbicie tych procesów społecznych. Charakterystyczna jest zwłaszcza grupa postaci, obejmująca panią Benedyktową Korczyńską, Zygmunta Korczyńskiego i Różycę. Są to typowe wytwory cywilizacji przejrzałej, przerafinowanej i chorobliwej. Zygmunt Korczyński jest kosmopolitą i estetą, niezdolnym do wielkiej twórczości, Różycę, to nałogowy morfinista. Ludzie ci nie są związani z nikim i z niczem, nawet z ziemią, na której wyrosli; życie ich jest pustą i jałową vegetacją.

I znowu, jako zbawcze przeciwieństwo przerafinowania kulturalnego, wysuwa się — natura. Bohatyrowicze, Justyna, stanowiący przeciwwagę tamtej grupy, tryskają zdrowiem moralnym i fizycznym. Nie znają się na formach towarzyskich i nie mają głębokiego wykształcenia, lecz ujmują szczerością, prostotą, prawdą. I właśnie w nich zawiera się owa cudowna

siła żywotna, która stanowi podstawowy, niezniszczalny fundament ludzkiego bytu.

Ten sam problem fałszywej cywilizacji i kontrastującej z tem prawdy człowieka pojawia się w „Nocach i dniach” jako jedno z centralnych zagadnień tej powieści. Tłum jej są dwie epoki: najpierw okres pozytywizmu, czas kształtowania się podstaw cywilizacji nowoczesnej z takimi ideałami jak oświata, wiedza, bogactwo i t. p., które właśnie dzisiaj uległy zachwianiu i pobudzają do krytycznej rewizji i potem okres przełomu, obejmujący schyłek zeszłego i początek bieżącego wieku, kiedy zaczynają się już krystalizować nowe ideały, socjalistyczne, nacjonalistyczne, niepodległościowe. I tu znów otwiera się pole do krytycznego prześwietlenia tych prądów, tak znamienych i dla dzisiejszego życia społecznego.

Stosunek Dąbrowskiej do pozytywizmu znalazł swój wyraz w charakterystyce społeczeństwa Kalinieckiego. Autorka nie ma naogół sympatii dla ludzi i spraw tego miasta, widzi przedewszystkiem ich śmieszność oraz obłudę ideałów, osłaniających często zwykły ludzki egoizm. Trzy postacie są pod tym względem najbardziej typowe. Pierwszą z nich jest Daniel Ostrzeński. Reprezentuje on karykaturalną „wiedzę” pozytywistyczną, zna mnóstwo szczegółów i faktów z rozmaitych dziedzin nauki, brak mu jednak głębszego wykształcenia i zdolności do rozumienia spraw toczącego się życia. Żona Daniela, Michalina, gorliwa działaczka społeczna i filantropijna, jest w gruncie rzeczy poczciwą kobietą, śmieszny w niej jednak nadawanie swym błahym sprawom historycznego i niemal kosmicznego znaczenia i naiwna wiara, że osobiste jej interesy stanowią potężny motor postępu społecznego. Syn ich, Anzelm, jest typowym na tle swoich czasów sprytnym spekulantem, deklamującym bez przerwy o dobrobycie jednostek, jako niezbędnej dźwigni dla podniesienia dobrobytu społecznego.

Przeciwieństwem tego hałaśliwego, egzaltującego się nowymi ideałami, hasłami, modami Kalinca jest — Serbinów. I jaśkrawy kontrast z temi wszystkimi Danielami, Michalinami, Anzelmami i t. p. stanowi postać Bogumiła Niechcica. Bogumił nie posiada ani głębszego wykształcenia, ani szerszych ambicji — jest prostakiem, nie widzącym świata poza swoją pracą i poza swoją miłością. Ale zato repre-

zentuje on te wartości moralne, których dotkliwie brak przedstawicielom społeczeństwa kalinieckiego. Pracując na cudzej ziemi, nie pamięta o tem, że trzusi się dla obcego — praca jest jego pasją, jego szczęściem. Choć nie ma na ustach wielkich i wzniosłych słów, jak wiedza, oświata, społeczeństwo, to właśnie on, ten bezimienny pracownik, bohater powszedniego dnia, jest prawdziwym, pełnym i w pewnym sensie idealnym człowiekiem. W tem przeciwieństwie dochodzi także do głosu tradycyjny kontrast miasta i wsi, fałszywej cywilizacji i szczerzej prostoty, książkowego rozumu i prawdziwej intuicyjnej wiedzy o życiu.

W dalszym ciągu powieści, z biegiem lat przenosimy się do innych czasów. Schyłek dziewiętnastego wieku przynosi rozczarowanie do ideałów wyznawanych dotychczas i wielką pustkę. W liście śmiertelnie chorego Lucjana Kocięła, jednej z najtragiczniejszych postaci powieści, czytamy prorocze słowa: „Wy tam tego w waszym zakątku nie czujecie ale mnie się zdaje, że idzie na świat coś nieludzkiego, co zależy człowieka, nie wiem, co to jest, co to będzie, ale to nadciąga, nadciąga. Władza, interes, maszyna“. Dekadentyzm reprezentują dwie postacie: Celina i Janusz. Oboje są jakby niestworzeni do życia, niezdolni do prawdziwych uczuć i dla tego życie łamie ich bezlitośnie. Inny przedstawiciel młodszego pokolenia. Bogdan Ostrzeński, przejrzawszy praktyczny „idealizm“ matki, wyznaje cynicznie płaski i ciasny egoizm.

Budzą się jednak również nowe, ożywcze prądy wśród młodzieży. Autorka roztacza przed nami szeroki obraz dążeń młodego pokolenia, gromadzącego się na zagranicznych uniwersytetach. W ścierających się zajadle niepodległościowcach i socjalistach poznajemy typowo młodzieńcze doktrynerstwo i zacietrzewienie. Dąbrowska nie okazuje wielkiej sympatii dla tych sporów „światopoglądowych“ i nie oświadcza się po niczyjej stronie. Obie strony rysują się raczej nieprzyjemnie. Nawet uwielbiany przywódca młodzieży, Marcin Śniadowski, w niektórych momentach wygląda na odstraszący przykład człowieka zdeformowanego przez psychozę rewolucyjną. Jakby i on miał świadczyć, jak fatalnie dzieje się z duszą człowieka, ogarniętego przez wiry i prądy czasu.

I znów wyraźny kontrast z tymi wszystkimi niepełnymi ludźmi, rozszczepionymi wewnątrznie bohaterami i niewinnymi ofiarami epoki, stanowi córka Bogumiła, Agnieszka. Jej silna osobowość rządząca

się niezawodnym nakazem instynktu i wrodzoną prawością, nie daje się wplątać w sieci żadnej myśli abstrakcyjnej i fałszywej, która w pogoni za wzniosłymi celami łamie i druzgoce człowieka. Na tem tle Agnieszka stacza nieustanną walkę z otoczeniem. Nie chce ulec Marcinowi, pragnie zachować za wszelką cenę swą niepodległość wewnętrzną, a równocześnie wzdyga się przed ciasnym egoizmem. Powieść nie daje nam ostatecznej odpowiedzi na pytania i wątpliwości bohaterki. Pozostajemy jednak pod silnym wrażeniem prostoty i prawdy tej postaci, śmiało i uparcie przeciwstawiającej się fałszom swych czasów.

W ten sposób w dalekiej perspektywie czasowej, ukazało się pokrewieństwo ideowe trzech wybitnych utworów literackich. W „Panu Tadeuszu“, w „Nad Niemnem“ i w „Nocach i dniach“ występuje ta sama antyurbanistyczna i antycywilizacyjna tendencja, odwołująca się do irracjonalnych sił natury ludzkiej. Tylko, że za każdym razem siły te są inaczej określane. Mickiewicz w „Panu Tadeuszu“ wskazuje na *poczucie narodowe*, jako na ten podskórny, głęboki instynkt, który jest źródłem najwznioślejszych czynów ludzkich. I w ten sposób chociaż zwraca się przeciw cywilizacji XVIII w. i duchowi rewolucyjnemu, podejmuje przeciw to, co było głównym rezultatem społecznych przemianowych czasów: nowoczesne sformułowanie idei narodowej.

Orzeszkowa w zasadzie bynajmniej nie zaprzecza temu, co twórca „Pana Tadeusza“ uznał za najgłębszy, naturalny motor ludzkiego działania. Ale w jej dziele akcent pada na co innego: na *pracę*. W pracy widzi autorka „Nad Niemnem“ tę elementarną siłę żywotną, która zdolna jest oprzeć się wszelkim przeciwieństwom i atakom losu. I w ten sposób Orzeszkowa, choć pod wieloma względami odstrychnęła się w „Nad Niemnem“ od kanonów pozytywistycznych, w najważniejszym punkcie pozostała

pozytywistką, zaświadczać, że owa, rzekomo niezmienna „natura“ ludzka przeobraża się podobnie jak kultura i zgodnie z jej kierunkiem rozwojowym.

Skolei zadajemy sobie pytanie, co objawiło się Dąbrowskiej, jako najgłębsze źródło twórczości ludzkiej, jako niezmienna istota człowieka. Czy instynkt pracy, jak u Orzeszkowej? Zapewne, że tak, ale akcent zasadniczy pada na co innego. I Bogumił i Barbara pracują, ale Bogumił szczęśliwy jest dlatego, że w jakimś sensie *przewycięzył subiektywny sposób patrzenia i odczuwania* i rytm jego życia jest w pewien niepojęty sposób szarmonizowany z rytmem całej natury, ziemi, rzecby można — kosmosu. To stanowi tajemnicę Bogumiła i to jest tajemnicą „Nocy i dni“.

Ludwik Fryde.

Honor Franki

(Jak pracują kobiety).

Wszystkie światła zgasły, za wyjątkiem czerwonego reflektora, skierowanego na małą przestrzeń w pośrodku sali, gdzie popisywała się egzotycznym tańcem półnaga tancerka. Muzyka grała jakieś omdlewające tango. Przy stolikach wesoła rozmowa nie milkła na chwilę. Rozlegały się okrzyki i uśmiechy.

— Róże, pachnące róże — usłyszałam nagle dźwięczny, znajomy głos.

Obejrzałam się szybko. W smudze czerwonego światła reflektora stała drobna, szczupła dziewczynka, mogąca mieć najwyżej 15 lat, z koszykiem kwiatów, przewieszonym przez ramię. Dużą, zniszczoną, ale starannie wymanicurowaną ręką podawała mi kilka białych róż. Na ukarminowanych wargach błakał się dziecinny uśmiech.

— Franka! — zawołałam ze zdumieniem.

W zeszłym roku często spotykałam bosą, rozczochraną dziewczynkę, w podartej brudnej sukience. Sprzedawała kwiaty i nigdy nie prosiła o jałmużnę. Gdy raz chciałam jej dać kilka groszy, odwróciła się z pogardą.

— Cóż pani myśli, że jestem żebraczka? — zawołała ze złością. — Chce pani kupić kwiaty, to pani prawo! Ale jałmużny nie chcę! I ja mam swój honor!

Potem zaprzyjaźniłyśmy się. Franka zrozumiała, że odnoszę się do niej serdecznie. Zresztą Franka znała psychologię ludzi:

— Pachnące fijołki, sama je zrywałam o świcie, psze - pana! Niech pan kupi dla pięknej damy! — molestowała jakiegoś przechodnia.



— To moja żona — rzucał zniecierpliwiony mężczyzna.

— A czy żona nie może być piękna? — nie ustępowała Franka.

Innym razem widziałam ją, prowadzącą długą rozmowę z jakimś oberwańcem.

— To mój narzeczony — powiedziała z dumą. — Obroni mnie, jak potrzeba. Wczoraj tak zbił jednego, że aż go pogotowie zabrało! Fajny chłopak!

„Narzeczony“ miał 14 lub 15 lat. Oboje byli dziećmi ulicy. Rodzice „narzeczonego“ byli nieznani. Ojciec i matka Franki siedzieli w więzieniu.

— Złodzieje — odpowiedziała spokojnie na moje pytanie. — Ojciec jest kasiarzem, a matka pracuje „na szopenfeld“. Ale ja wolę kwiaty...

Niedawno spotkałam Frankę przy wejściu do dancingu, trzymającą w ręku pęk chryzantem. Wskakiwała na stopnie samochodu, śmiała się, gdy któryś z pijanych gości głąskał ją pod brodę lub usiłował pocałować. I nie gardziła datkami za niekupione kwiaty.

— Gdzie się podział twój honor, Franko? — zapytałam.

Skrzywiła się.

— Gdzie mnie tam o honorze myśleć — westchnęła. — Mam jensze kłopoty na głowie...

Straciłam Frankę z oczu i dopiero spotkałam ją w nocnym dancingu, gładko uczesana, umyta, w skromnej, lecz modnej sukience, sprzedając kwiaty.

— To proszę pani tak było — nachyliła się nade mną i owiała mnie zapachem tanich perfum. — Jak matka wróciła z więzienia, chciała, żebym „chodziła na ulicę“, bo teraz kryzys, „szopenfeld“ daje mało forsy, a sama jest stara i nikt jej nie chce. Ale ja nie głupia. Jak mam „chodzić“ to dla siebie, a nie dla matki! Od słowa do słowa pokłóciliśmy się, uciekłam z domu i sprzedawałam kwiaty...

— A narzeczony? — przerwałam. Machnęła ręką.

— Noga mu się podwinęła. Sąd dla nieletnich posłał go do Studzieńca.

Westchnęła, ale po chwili ciągnęła dalej.

— Niedługo zapoznał mnie tutejszy kelner, sprawił mi sukienkę, buciki i zarekomendował do dancingu. Nie chciał, żebym wałęsała się po ulicy.

— Dobry człowiek — zauważyłam.

15-letnia Franka obrzuciła mnie drwiącym spojrzeniem.

— Czy pani spadła z księżycy? — spytała z ironją. — Kto ma dzisiaj litościwe serce?...

Franka sprzedaje kwiaty, sprzedaje również uśmiechy i pocałun-

ki. Z kelnerem pokłóciła się, ale w dancingu została. Zarobki jej są bardzo małe. Ledwie wystarczają na zapłacenie za kąk (mieszka u straganiarki i płaci 15 zł. miesięcznie za prawo spania w dzień). Jada przeważnie tylko raz dziennie. Wieczorem. A tak sucha bułka, lub szklanka mleka... Sukienkę ma tylko jedną, tę, co dostała od kelnera. Raz w tygodniu chodzi do fryzjera i daje sobie zrobić manicure (wymawia manikure). Perfumy stanowią poważną rubrykę w jej wydatkach.

— Żeby nie czuć było zapachu brudnej pościeli — dodaje wstydliwie.

Opowiada z dumą, że ma jedwabną koszulę, którą pierze w dzień i kładzie na noc.

W stosunku Franki do dancingowych gości kryje się dużo pogardy. 15-letnia dziewczynka zna dobrze typ stałego bywalca nocnego lokalu.

— Dawniej myślałam, że gość, który idzie na dancino, to prawdziwy pan — mówi — dopiero teraz zmądrzałam. Jak kto ma wypchany pugilares, to myśli, że jaśnie pan. I dopiero, gdy rozwali gębunię, to nie jaśnie państwo, ale chamstwo z niej wyłazi...

W tej chwili na salę weszła utleniona blondynka, w kosztownej sukni, w towarzystwie starszego, wytwornego pana. Franka natychmiast znalazła się przy ich stoliku uśmiechnięta, wdzięczna, co nie przeszkodziło jej obrzucić krytycznym spojrzeniem sukni kobiety.

— Utrzymanka — zwierzyła mi się nieco później. — Ale taki fason trzyma, że niczem hrabini! Przychodzi do nas często, bo kocha się w fordanserze. O widzi pani? Ten wysoki, przystojny blondyn! A jej „stary“ nic nie widzi, niczego się nie domyśla. Niecierpię jej. Kwiatów nie pozwala staremu kupić. Woli, żeby jej dawał gotówkę...

Egzotyczna tancerka skończyła swój numer. Czerwony reflektor zgasł. Zastąpiły go dyskretne światła, ukryte we wnętrzu kolorowych lampionów. Na salę weszło towarzystwo, złożone z kilku osób i posłusznie zajęło stolik w pobliżu orkiestry, wskazany im przez kelnera.

— Zaraz można poznać, że pierwszy raz przychodzą do dancingu — rozległ się szept Franki. — Kelner wsunął im najgorszy stolik, poradzi najdroższe potrawy. Wszyscy zarobią, ale nie ja! Bo kwiatów nie kupią. Już ja się znam na tem...

Miała słuszność. Naprawdę wystroiliła się w najwdzięczniejszy uśmiech. Nikt nie zwracał uwagi na małą kwiaciarkę.

— A jacy goście są najlepsi? — pytam.

Na twarzy Franki zakwita uśmiech przedwcześnie dojrzałego dziecka.

— Najlepszy to taki gość, który świsnął forszę, a potem przyjdzie tutaj i przepije wszystko w jedną noc. Taki niczego nie żałuje. I zakochani. Takiemu można cały koszyk ofiarować. Kupi wszystkie kwiaty, byleby tylko sprawić przyjemność swojej dziewczynie. Tylko, że rzadko ma dosyć pieniędzy...

Na salę wchodzi kilku panów, których niepewny chód i zbyt głośne rozmowy wymownie świadczą, że są „pod gazem“. Koło nich usłużnie kręci się kelner, może ten sam kelner, który sprawił France pierwszą sukienkę i mała kwiaciarka śmieje się, pozwala głąskać po obnażonej ręce, macza nawet usta w kieliszku wina i kładzie na stolik pęk fijołków. Widzę, jak ze sztucznie obojętną miną chowa do kieszeni kilka srebrnych monet, ale oczy jej błyszczą zadowoleniem. Widocznie udało się. Potem krąży po sali, zatrzymuje się przy każdym stoliku, uśmiechnięta, wdzięczna. I zdaje mi się, że słyszę jej dziecinny głosik:

— Sama zerwałam o świcie psze-pana...

St. Osińska.

Goslar i nowe Niemcy

(Kores. własna „Bluszczu“).

Cudzoziemcy, którzy przyjechali do Goslar na II Zjazd chłopów — mogli odnieść wrażenie, że uczestnicy Zjazdu to sami wojskowi, bo mężczyźni w cywilnych ubraniach prawie wcale nie było widać. Dla „cywila“ nie wtajemniczonego w różnice między mundurem wojskowym a rozmaitemi partyjnymi mundurami N. S. orientacja była niemożliwa, to też nikt zapewne nie głowił się nad temi różnicami, ale wszyscy przyjmowali wrażenie wprost w tej formie, w jakiej się ono nasuwało.

Wszyscy — a tem bardziej cudzoziemki — a było nas dwie: Fru Michelet, przewodnicząca zjednoczonych organizacyj czterech północnych państw, t. j. Szwecji, Norwegji, Danji i Finlandji i ja z Polski.

Zaproszenie uprzedzało nas uprzejmie, że poczynając od granicy niemieckiej jesteśmy gośćmi Reichswährstand'u. (Jest to urząd kierowniczy, łączący w sobie Ministerstwo Rolnictwa, Stan wyżywienia państwa, regulujący wszystkie zagadnienia żywnościowe i centralizację rozwiązanych organizacyj społecznych oraz Izby Rolniczych).

Gościnność była uprzedzająca w najdrobniejszych szczegółach i po-

zwoliła na pełne wykorzystanie niezmiernie ciekawego pobytu. Trochę o to gdzie — kiedy mamy się gdzieś stawić, jak się tam dostać, mogłyśmy zdać najzupełniej na przydzieloną nam z urzędu opiekunkę p. Kuessner Gerhard.

Pani ta jest kierowniczką wydziału zagadnień gospodarczych kobiet wiejskich na terenie międzynarodowym, przy głównym sztabie Reichswährstand'u, a swój urząd pełni z doskonałą znajomością stosunków międzynarodowych, z talentem i wdziękiem.

Idealna kierowniczka a bardzo miła towarzyszka. Celem Zjazdu, w którym brali udział kierownicy i kierowniczkę okręgów partyjnych z całych Niemiec, było przedstawienie przez rząd całego programu nowej organizacji z oparciem jej na starogermańskich tradycjach i narady dyskusyjne nad realizacją szczegółów prowadzone w sekcjach. Do takich sekcji należała również kobieca, przy której naradach byliśmy obecne. Tematy omawiane na sekcji kobiecej, przedstawione były następnie w sposób szerszy na zebraniach plenarnych, przybierając charakter deklaracji rządowych i wreszcie, kwintesencja wygłoszona była przez 2 kierowników Reichswährstand'u ministra przewodnika W. Darré i zastępcę jego W. Meinberga na rynku, wobec tłumnie zgromadzonych słuchaczy z wsi okolicznych.

A teraz parę słów o miejscu, w którym to wszystko działo się od 11—18 listopada.

Wybór padł na Goslar, stare miasteczko o 25.000 mieszkańców u podnóża gór Harcu na terenie Hanowersko - Brunswickim. Goslar zachował wszystkie cechy średnio-wieczne z którymi łączy komfort i kulturę nowoczesną, gdyż jest celem wycieczek turystycznych. Ma więc przepiękne stare kręte uliczki z domkami o wysmukłych szczytach, przybranych rubasznymi rzeźbami, cudowne stare baszty i kościoły, tradycję siedliska walk między oddanym chłopstwu Henrykiem Lwem a zaborcą polityką Rudobrodego. Ma położenie w ośrodku kraju rolniczego o rdzenie niemieckiej kulturze, wybór jego, jako nowej stolicy chłopskiego stanu, na którego podstawie ma się odradzać państwo germańskie nadał całemu zjazdowi zabarwienie pożądane przez twórców nowego kierunku, t. j. przeciwstawienie naturalnej kultury rasowej — kapitalistycznej międzynarodowce.

W tym duchu szły i obrady wśród kobiet. Pierwszy dzień poświęcony był podstawom historycznym, wyciągniętym z studjów nad bytem pierwotnych Germanów.

Potem wyjaśnienie, czym jest Odał, stare prawo alodjalne dziedzicznej osiadłości na ziemi tych, którzy ją uprawiają pracą własnych rąk. Oparcie na „Odał” nowego prawa dziedzicznej zagrody chłopskiej, której niewolno zadłużać, zmniejszać ani sprzedawać, a więc wolnej od wszelkiego kapitalistycznego frymaczenia.

Na tej zagrodzie osiadła rodzina, na którą składają się jednocześnie 2 albo 3 pokolenia ma mieć zabezpieczony byt dzięki nastawieniu na produkcję pokrywającą przedewszystkiem własne potrzeby. Produkty zbywające sprzedawane są po cenach ustanowionych nie przez handlarzy, importujących i wywożących to, co im zysk przynieść może, ale przez urząd, mający na celu godziwy zarobek producenta chłopa i umiarkowaną cenę dla spóżywcy-robociarza.

Obszernie wykładany był wpływ zarządzeń agrarno politycznych na kobiece gospodarstwo wiejskie, wprowadzanie technicznych urządzeń, któreby odciążały kobiety od nadmiernej pracy i pozwalały na większe poświęcenie się rodzinie i różne zarządzenia, dotyczące kształcenia gospodarczego kobiet i stosunków służbowych i robotniczych. Do tej ostatniej kwestji należało uniezależnienie gospodarstw od sezonowych robotników przeważnie cudzoziemców i wprowadzenie na nowo stałych całorocznych robotników, odrabiających dniówkę za prawo użytkowania ziemi.

Oczywiście, nie brakło i urozmaiceń po pracownice spędzanych dniach. Do takich należał śliczny wieczór prządek, w czasie którego wielkie powodzenie zyskał moment doręczenia przezemnie przedmiotów naszej sztuki ludowej, t. j. tkactwa i hafciarstwa.

Ostatniego dnia odbył się artystycznie inscenizowany i wystawiony w olbrzymim, specjalnie zbudowanym namiocie wieczór tańców ludowych i pieśni, poprzedzony symbolicznym obrazem chłopa, do którego zdążają postacie, niosące ziemię z wszystkich miejscowości uświęconych walką o wolność.

Krew i ziemia—oto hasło nowych Niemiec, wiekiusty związek pomiędzy niemi, obrót życiodajny, łączący krew chłopa pracownika z ziemią, której plody tę krew zasilają, oto obecny światopogląd. Wyrazem jego ma być godło hitlerowskie i runiczne znaki, przypominające wszystkim jedność dzisiejszego pokolenia III-go Reichu z pragermańskim Odał'em.

Ludzie, którzy przewrót tak znamienny w Niemczech prowadzą, to niewątpliwie ludzie niepospolici i silni, to też poznanie ich na przyje-

ciach urzędowych i w czasie audjencji udzielonej cudzoziemcom przez ministra Darré, na którą i my dwie cudzoziemki byłyśmy zaproszone, było niezmiernie zajmujące.

Więcej jeszcze sposobności miałyśmy do poznania najwybitniejszych działaczek niemieckich, wśród których czołowe miejsce zajmują p. v. Rheden, przewodnicząca włościanek, p. Kuessner-Gerhard, która nas tak gościnnie podejmowała i p. Ewa Förster, kierowniczka gospodarczego kształcenia w Reichswährstand'zie.

Oddanie tych kobiet idei nowych Niemiec, które przywróciły narodowi wiarę w przyszłość, entuzjazm z jakim pełnią swe zadanie jest podziwu godny. Za niemi stoją wielkie zastępy dzielnych pracowników zawodowych, gotowych do wszelkich ofiar byle spełnić swe zadanie, ale upominających się publicznie o swe prawa tam, gdzie zdaniem ich widzą jakąkolwiek niesprawiedliwość.

W zebraniach brała także udział p. Elżbieta Böhm, twórczyni przed kilkudziesięciami laty potężnej organizacji gospodyń wiejskich, która przed rokiem została rozwiązana i wcielona do Reichswährstand'u.

Nie ulega wątpliwości, że przy kształtowaniu się nowych stosunków w Niemczech kobiety ogrywają i nadal odgrywać będą wybitną rolę, to też pożądane jest, aby w Polsce, której geograficzne sąsiedztwo z Niemcami jest tak bliskie, zwrócona była baczna uwaga na przemiany tam dokonywane. Poznanie nas, kobiet, piastujących kierownicze stanowiska, wydaje mi się koniecznym, dla tego przyjął z radością zaproszenie do Goslar, gdyż dało mi możliwość osobistego zetknięcia z ludźmi i ich światem.

Wiejskie kobiety niemieckie potrafiły w ciągu roku przeobrazić całkowicie nawet swój wygląd zewnętrzny. Niemal wszystkie przyjęły modę wiejską, wcale nie wzorowaną na strojach ludowych, ale skomponowaną zgodnie z potrzebami pracy zawodowej. Są to szerokie i swobodne suknie samodziłowe, ujęte w obcisłe staniki, zapięte na srebrne guziki ozdobione runicznymi znakami. Rozmaitość w kroju i materiałach — wielka, ale ogólny charakter zbliżony.

Tak odmalowało się przeobrażenie i w zewnętrznych cechach, uniezależnionych od międzynarodowego charakteru i ta okoliczność świadczy bardzo dobitnie o głębokiej istocie wewnętrznych przeistoczeń niemieckich kobiet.

M. Karczemska.

Z ubiegłego tygodnia

Rok zaczyna się optymistycznie. — Coś dla „modrego Dunaju”. — Ale afrykańskie trudności...? — Kombatanci tu i tam. — Czekajmy Saary! — Gdańsk a my. — Przy biurku o terrorze.

Zdaje mi się, że nowy rok zaczął się po myślnie dla — optymistów... Coś przecież należy się tym wytrwałym ludziom dobrej woli i oto mają teraz zadośćuczynienie w porozumieniu francusko - włoskiem. Dlatego nie trzeba się dziwić, że używają enfatycznych słów, że poprostu chępią się tem pierwszym po wojnie spotkaniem przedstawicieli dwóch państw, które były sojusznikami w wojnie i których natychmiast rozdzielł pokój.

Wizyta ministra Laval'a w Rzymie rodziła się ciężko. „Pojedzie — nie pojedzie” — było przez wiele tygodni dylematem, który psuł święta politykom europejskim. Tymczasem płynął sobie Dunaj poprzez kraje, nie modry, a zbeltany, nawet tu i ówdzie krą narosły. Czy zmieni teraz swój kolor, gdy Agencja Havasa rozgłosi światu o pakcie wzajemnej pomocy (francusko - włoskiej), która ma zagwarantować Austrii niepodległość? Pakt ten podpiszą nadto Czechosłowacja, Jugosławia, Niemcy,

Węgry i Austria, a później wciągnięte zostaną — Rumunja i Polska jako gwaranci.

Niewątpliwie należy się cieszyć, że teza niepodległości zwyciężyła, że małe państwo o wielkiej tradycji, o świeżej jeszcze pamięci swojej potęgi mocarstwowej, znalazło protektora i — gwarantów. Któżby dziś inaczej sądził o tej sprawie, która była jednym z „niebezpieczeństw dla pokoju europejskiego?”. Wygasanie, czy przygasanie takich niebezpiecznych ognisk wojny jest wszakże gwarancją pokoju na jakiś czas.

Wiadomo jednak, że porozumienia mają dziś charakter połowiczny, że żadną miarą nie da się nawet z toastów usunąć osadu pewnych zasadniczych obiektów sporu. Także i w zjeździe rzymskim nie zdołano całkowicie porozumieć się w sprawach bardzo własnych, bo afrykańskich. Co będzie z zagadnieniem Algieru, co z trudnościami, które wymagają ustępstw obustronnych?

Należy tu zwrócić uwagę na fakt, jak się to zwykle pisze „wysoco znamienne” — mianowicie na duży wpływ związków kombatantów, którzy podjęli się medjatorstwa i tu i tam. Francuscy kombatanci już sobie porozmawiali z niemieckimi i niedawno był taki moment wzruszenia, że to niby ci sami, którzy we wrogich okopach

nie tak dawno jeszcze rozmawiali z sobą karabinami maszynowymi, kartaczami, Grubemi Bertami i trującymi gazami. My, ludzie wojny — mówili — nie chcemy już wojny. Sceptycy łączyli to jakoś ze zbliżającym się plebiscytem w Saarze, a oto jeszcze kilka dni i plebiscyt rozstrzygnie, jak to jest z temi sercami na dłoni.

Wróćmy jednak do roli kombatantów. Właśnie podczas swojej wizyty rzymskiej minister Laval oświadczył przedstawicielom kombatantów francuskich i włoskich, że to oni, kombatanci, dużo dopomogli w nawiązaniu stosunków między oboma państwami.

Przypominam też szczere rozmowy między polskimi i francuskimi kombatantami z ostatnich tygodni, aby zwrócić uwagę na te nowe formy braterstwa broni. Tak jest, jakgdyby dzisiaj weterani wojny światowej poczuli się do obowiązku, powiedzmy od razu: pięknego obowiązku — bronięcia pokoju świata.

W chwili gdy piszemy naszą kronikę, przybywa do Warszawy nowy prezydent Gdańska, p. Grešer. Lepsza faza w stosunkach polsko - gdańskich, rozpoczęta w r 1933-im, miejmy nadzieję, nie dozna zmiany. Ten nowy człowiek, który wziął w swoje ręce władzę w Gdańsku, zmienia-

Cenne upominki Noworoczne

dla Prenumeratorek

„Bluszczu“



Każda z Pań Prenumeratorek, wpłacająca do dnia 15 stycznia 1935 r. roczną prenumeratę wprost do administracji „Bluszczu”
Solec 87 lub Świętokrzyska 17 otrzyma do wyboru:



1) Piękny Komplet na toaletę albo garnitur do likieru z kolorowego szkła lub

2) Komplet wyrobów perfumeryjnych Pula

Każda zaś z Pań, wnosząca półroczną prenumeratę w tym samym terminie otrzyma do wyboru:



a) Jedną parę pończoch jedwabnych w dowolnym kolorze

b) garnitur z kolorowego szkła do Kompotu albo do ciast (razem 7 sztuk)

c) barwny obrus bridżowy

d) flakon wody kolońskiej albo pudełko mydeł firmy Fr. Puls.

Premje

wysyłać będziemy w terminie 2-tygodniowym od dnia otrzymania prenumeraty. Panie Prenumeratorki są proszone o zaznaczenie na blankietach nadawczych, jaką premję wybierają. W przeciwnym razie premje będą wysyłane podług uznania Redakcji.

jąc poniekąd regime w wolnym mieście, rozumie jednak, że nie może zmienić polityki swojego miasta w stosunku do Polski. Rozumie, że dla dobra Wolnego Miasta polityka ta musi opierać się na współpracy.

Tak więc fakty, te pierwsze fakty nowego roku, mają wszelkie pozory, że inieją spójność, zgodną współpracę i troskę o zachowanie równowagi politycznej. Ze Stanów Zjednoczonych dochodzą nadto projekty Roosevelta, zmierzające do zwalczania bezrobocia. Jedynie tylko w Sowietach ponury proces Zinowiewistów krwawo rozpoznał nowy rozdział historii komunistycznego ustroju. Przeobrażenia? — pytają zainteresowani — nowy kurs? Trzynastu sądzonych i rozstrzelanych, naczelnicy spisku deportowani. My ludzie z za biurka nie możemy zrozumieć takiej ceny przeobrażeń! Wstrząsamy się więc i mówimy może bezmyślnie, ale z uczuciem odrazy: terror...

H. N.

Z teatrów

„Intryga i miłość“ Fryderyka Schillera, w przekładzie Juliana Tuwima. Inscenizacja i reżyserja A. Węgierki. Dekoracje i kostjumy Z. Węgierkowej.

Cóż to za inny, znany tylko z marzenia i ksiązek kraj, ten świat poezji romantycznej! Zanim jeszcze aktorzy zdążyli otworzyć usta, już przemawia on do nas plastycznym i kolorowym słowem wnętrza; wywołanego z przeszłości dekoracyjnym czarodziejstwem Węgierkowej. Ta mieszczańska świetlica z zaciszną wnetką okienka o naiwnych firanczkach, kwiatkach i ptaszkach, ma w sobie coś z flamandzkiego rodzajowego malowidła. Kojarzy się również dobrze z końcem w. XVIII, w którym powstała sztuka, jak z epoką wczesnego renesansu. Rozwój akcji wzmożnił to skojarzenie analogjami z „Romeo i Julją“. I tu i tam miłość

i śmierć, jako dwa słupy graniczne wiosnianej sielanki, którą nienawiść rodowa lub przesady klasowe wtrącają w otchłań tragedji.

Jest w romantyzmie „Intrygi i miłości“ pewien prymitywizm sytuacyjny, jakaś rozbrajająca naiwność frazeologii, która, zamiast śmieszyć, wzrusza, jak wzruszają nas wspomnienia własnej pierwszej niezgrabnej, szczenięcej miłości. Jakże chętnie przebaczymy poccie jego młodość! Tak,

jak gdybyśmy rozgrzeszali samych siebie...

W osobach „Intrygi i miłości“ pokutuje jeszcze pseudoklasyczny podział na jasne i czarne charaktery. Wszystkie światła skupione są na postaciach dwojga kochanków: Luizy i Ferdynanda, przyczem rozkład światel jest taki, że Luiza tonie niemal w aureoli anielstwa i męczeństwa, podczas gdy Ferdynand mieni się raczej tęczą gwałtownej, choć szlachetnej namiętności. Coś rycerskiego jest w tej postaci. Pasowałaby do niej raczej średniowieczna zbroja, niż palone buty i obcisły mundur rokokowego majora.

Część blasków splywa i na najbliższe otoczenie romantycznej pary. Rodzice Luizy, szczególnie stary grajek Miller, to uosobienie mieszczańskiej cnoty i szlachetności, pogłębionej jeszcze przez kontrast z pychą, rozpustą i przewrotnością niemieckich możnowładców i ich zauszników.

Strona dekoracyjna nieco przesadnie z punktu widzenia ścisłości historycznej, ale niewątpliwie zgodnie z intencjami poety podkreśliła kontrast duchowy dwóch warstw społecznych. Po skromnej, choć pełnej charakteru izbie mieszczańskiej ujrzelismy salę, ociekającą wulgarnym przepychem zwyrodniałego niemieckiego rokoka. Złoczone korkociągi kolumn, purpura adamaszków, jaskrawe stroje prezydenta Waltera i jego służalców, o wymownych nazwiskach Kalba i Wurma, stwarzały środowisko nieco herodowe o akcentach stylowej groteski.

Na pograniczu tych dwóch światów kołysze się lady Milfort. Urodzeniem, wy-



Solski i Malicka w „Intrydze i miłości“.



Węgierko i Gorczyńska jako Ferdynand i lady Milfort.

chowaniem, temperamentem, rozpieszczonem i rozpustnem ciałem należąca do królestwa możnych, duszą i sercem cięży do świata szlachejnych i pokrzywdzonych, szukając ostatecznej ekspiacji w ucieczce od pokus, i w wyrzeczeniu się swojej jedynej prawdziwej, a nieodwzajemnionej miłości. Słusznie zauważył Boy, że kto wie, czy lady Milfort nie jest pierwszą w literaturze „kurtyzaną odkupioną przez miłość“, która później tak obfite wydała w literaturze romantycznej potomstwo. Coprawda w apologii tej „Damy kameljo-wej“ niemieckiego rokoka zbyt wiele jest naiwnych sprzeczności, aby tego uroczego pasożyta, żerującego bezwiednie na niedoli uciśnionego ludu, zmienić w naszych oczach na jego orędowniczkę, ale czego nie zdoła uczynić logika, tego dokona za-pał i fantazja poety.

Przedziwny to świat, w którym ludzie myślą głośno, wypowiadają sobie w oczy wszystko to, co nam dzisiaj nakazuje przemiłceć obłuda, ostrożność lub poprostu... dobre wychowanie. Zato, kiedy w grę wchodzi podstęp, to tak szatański, że włosy stają dęba ze zgrozy, iż święta ziemia może nosić takich potworów. Podobno szubrawcom najlepiej się powodzi, gdy trafiają w środowisko szlachejnych i łatw-wiernych ludzi. Jesteśmy świadkami takiego „życia ułatwionego“ łajdaków i uproszczonej śmierci bohaterów miłości, zbyt uproszczonej, aby była konieczną.

I tutaj znów muszę zacytować Skiwskiego, który z trzeźwością racjonalisty XX w. trafnie wnioskuje, że skoro po wypiciu trucizny przez nieszczęsną parę konflikt się wyjaśnił, należałoby corychlej przerwać wzniosłe tyrady i szukać ratunku przed zbliżającą się śmiercią.

Jednym słowem: „Wody, octu, lekarza!“, zamiast „O, błogosławiona śmierci“. Takby było coprawda najprościej i naj-naturalniej, ale na miły Bóg, co zrobić z parą cudownie wyratowanych kochan-ków w romantycznej tragedji? Przecież to nie amerykański film z happy end'em.

A jednak brakuje nam tego całkowitego zwycięstwa miłości nad podłością nie w śmierci, ale właśnie w życiu, nam świad-kom i współuczestnikom największego triumfu życia nad śmiercią, jakim było wyzwolenie narodu z wiekowej niewoli. I dlatego „Intryga i miłość“ porywa nas jedynie jako bunt, ale nie zaspakaja i nie zadawała, jako wymiar sprawiedliwości, gdyż jest rewolucją samobójczą, całopal-nym stołem miłosnych Wenedów.

A teraz parę słów o grze artystów. Mam wrażenie, że gdyby Schiller zmartwych-wstał i zobaczył Solskiego w roli starego Millera, a Malicką jako Luizę, byłby to najpiękniejszy dzień jego powtórnego życia. Solski wydobyl na jaw wszystkie rysy tego artysty - mieszczanina: szla-chetną dumę i godność, weredyctwo przy pozorach układności (pierwsza rozmowa z Wurmem i tyrada do prezydenta Walte-ra), tkliwą miłość do córki (tu w interpre-tacji można się było dopatrzeć freudyizmu, czy to ta niespodzianka, którą obiecywał Solski przed spektaklem?). Żywość i sprę-

żystość ruchów tego sześćdziesięcioletniego muzykanta była zaiste zdumiewająca. Zda-wało się, że cały „Drang u. Sturmperiode“ kipi w jego żyłach.

Luiza Malickiej była tak słodka i aniel-ska, że, jak powiedział Boy, można ją było odrazu włożyć do książki do nabożeństwa, jak święty obrazek. Ale czy nie taką właś-nie chciał ją mieć Schiller? A w decydu-jącej rozmowie z lady Milfort, w tym po-jedynku między wampem a aniołem miło-sci, czyż nie anielstwo właśnie odnosi osta-teczny perwersyjny triumf? Pogńębiony anioł, który swoją własną śmiercią chce odgrodzić kochankę od szczęśliwszej ry-walki, zmienia się w demona. Węgierko jest świetnym artystą, ale niema ani gło-su, ani aparycji na bohaterskiego tenora. Cała postać duchowa Ferdynanda oparta jest na tonach wysokich. Wygłaszane zdu-szonym nieco basem są jak arja na viola d'amore, wygrana przez puzon.

Chmielewski miał lwí profil prowincjo-nalnego tyra na i kadłub brutala. Mniej szczęśliwi byli jego zauszniczy: Grabow-ski — śmieszna kukła w roli Kalba i Jus-tjan, bardzo padalecy jako Wurm, ale ani głosem, ani gestem niezdradzający swojej nieszczęśliwej miłości do Luizy, miłości, z której wyległo się owo kłębówisko intryg.

Gorczyńska robiła wszystko, żeby postać lady Milford, szlachejnej jawno grzeszniczy, uczynić prawdopodobną i przekonującą. Wyglądała ślicznie, z wdziękiem no-siła stylowe kostjумы — poematy kolorystyczne (chapeaux pas przed Węgierkową za suknię z angielskiej czerwieni i za ko-stjum podróży w tonach bzu i ametystu), ale niestety w tej roli rokokowej miłośnicy, krępką dłonią dzierżącej ster rządów we-wnątrznych niemieckiego państewka, snad-niej widziałoby się nie saską kruchą figu-rynkę, ale monumentalną karjatydę o boga-tych rubensowskich kształtach, kobietę z marmuru i z brązu, ale nie z porcela-ny. Jakąś Pancewiczową naprzykład.

A teraz pendant do ankiety „Czy kry-zys feminizmu?“ — Po wysłuchaniu „In-trygi i miłości“ zapytałam: „Czyż to nie świt feminizmu?“ — Przecież w tej pie-kielnej intrydze, którą omotano zakochaną parę, nie bierze udziału żadna kobieta. Sa-mi mężczyźni! A ta jedna, jedyna, która miałaby prawo być intrygantką, o ileż wy-żej stoi od swoich książęcych protekto-rów.

S. P. O.

Przegląd Prasy

CZY NIEWOLNICTWO ISTNIEJE?

W „Gazecie Polskiej“ w art. Flo-rjana Sokołowa p. t. „Białe i czar-ne“ czytamy:

Anglja obchodziła niedawno bardzo piękną rocznicę — stulecie zniesienia nie-wolnictwa. W lipcu r. 1854 aktem parla-mentu położony mu został kres na obsza-rach państwa brytyjskiego po długiej i zawziętej kampanji humanitarnej, prowa-dzonej przez Williama Wilberforce'a i To-masza Buxtona. Nie było rzeczą łatwą

obalić „interes“, tak intratny, w którym zaangażowane były wielkie kapitały. Anglja dumna jest, iż zniosła niewolnictwo o 28 lat przed Ameryką, gdzie dokonał tego Lincoln po zwycięskiej wojnie do-mowej Stanów północnych z południo-wemi.

Rocznice święcono uroczysto bankie-tem, mowami, artykułami. Składano hołdy działaczom społecznym i mężom stanu, którzy zasłużyli się na tem polu. Pieciuset ich potomków zjadło wspólnie „lunch“ dla uczczenia pamięci swych przodków. Sis John Simon, Sir Philip Cunliffe Lister, minister kolonji i Sir Bolton Eyres Mon-sell, minister marynarki, wygłosili prze-mówienia okolicznościowe, jako przedsta-wiciele resortów, które najwięcej wyróż-niły się w walce z handlem niewolnikami. Sir Bolton Eyres Monsell oświadczył, że dotychczas jeszcze czternaście statków angielskich zajętych jest patrolowaniem zatoki perskiej i Czerwonego Morza, gdzie handel ten dotąd kwitnie. Lecz nietylko tam. Według przypuszczalnych obliczeń, conajmniej pięć milionów ludzi żyje w stanie prymitywnego niewolnictwa, nie licząc milionów, znajdujących się w sy-tuacji, mało czem różniącej się od niego. Abissynja, Afganistan, Liberja, inne kraje zachodniej Afryki, pewne części Chin, Arabja, niektóre prowincje Marokka, A-meryka środkowa, Ceylon — wszędzie tam żyją miliony ludzi, których można kupować i sprzedawać zgodnie z panu-jącymi zwyczajami. W Chinach istnieje zwyczaj sprzedawania dziewcząt przed zamążpójściem do posług domowych, na Ceylonie niewolnictwo przybrało formę adoptacji dzieci, w środkowej Ameryce zakorzeniona jest instytucja pańszczyzny — peonów, w Arabji 700.000 ludzi niema większych praw od psów i koni, 50 państw przystąpiło do konwencji Ligi Narodów w sprawie tępienia niewolnictwa, lecz pra-ca ta idzie bardzo wolno. Rząd abisyński obiecał, że zlikwiduje niewolnictwo za piętnaście lat, ale czy różne komitety fi-lantropijne są w stanie skontrolować, co się dzieje w głębi Afryki lub w spelun-kach miast portowych na Wschodzie?

Express Poranny „Co w trawie piszczy“:

SYMPATJA.

Malarz S... naciągał często adwokata X., na drobne pożyczki, których oczywiście nigdy nie zwracał.

Na wiosnę bieżącego roku pan mece-nas został skazany na sześć miesięcy wię-zienia za jakieś niedozwolone machinacje.

Przed paroma dniami zjawił się poraz pierwszy po odbyciu kary w Ziemiańskiej. Zaledwie ukazał się na sali, malarz pod-szedł do niego, prosząc o pożyczanie dwu-dziestu złotych. Otrzymałszy żadaną su-mę wrócił do stolika i powiedział do sie-dzącego z nim znajomego:

— Nie potrzebuję dziś wprawdzie pie-niędzy, ale chciałem dać do zrozumienia temu biedakowi, że nie straciłem do niego sympatji.

Kobieta w świecie i w domu

„TYP A” — KOMEDJA M. MOROZOWICZ - SZCZEPKOWSKIEJ NA SCENIE LONDYŃSKIEJ.

Grana niedawno na scenie teatru Ate-neum komedia autorki „Sprawy Moniki” — Marji Morozowicz - Szczepkowskiej p. t. „Typ A” została przełożona na język angielski i niebawem ukaże się na jednej ze scen londyńskich.

Prócz tego komedia ta grana będzie w teatrze żargonowym Izby Kamińskiej, jako umuzyczniona groteska. Również i przekład francuski komedji: „Typ A” jest w trakcie.

KOŁO SAMOKSZTAŁCENIA DO SPRAW KOBIECYCH.

Na walnym zebraniu stow. kobiet z wyższym wykształceniem, jakie w tych dniach odbyło się, dowiedzieliśmy się, iż w roku sprawozdawczym założono koło samokształceniowe do spraw kobiecych, które zbiera się każdego czwartku na interesujące seminarja. Ponadto Stow. KWW zorganizowało kursy języków obcych, w związku z mającym się odbyć międzynarodynar. kongresem federacji w r. 1936, w Polsce, w Krakowie. W tym samym roku wypada 19-lecie polskiego oddziału tej organizacji. W związku z 10-leciem postanowiono wydać specjalną broszurę, której cz. 1-sza informować będzie o pracy już dokonanej, cz. 2-ga o zamierzeniach na przyszłość.

WYSTAWA KASZUBSKA.

Jedną z najlepiej rozwijających się sekcji Związku Strzeleckiego na Pomorzu jest Okręgowa Komisja Pracy Kobiet.

Dotychczasowy dorobek pracy strzeleczny pomorskich pokazano nam na Wystawie Kaszubskiej, urządzonej w salach Dworu Artusa w Toruniu. Nazwano ją Wystawą Kaszubską, gdyż wszystkie eksponaty wystawy zostały wykonane według wzorów kaszubskich.

Wystawa przedstawia się okazale. Na wstępie zaraz podziwiamy ręczne prace wykonane artystycznie w metaloplastyce przez p. Janinę Taterzanek z Oddziału Z. S. w Toruniu. Dalej oglądamy piękne prace koronkarskie, hafty kaszubskie oraz nowoczesne (t. zw. aplikacje), dywany, makaty, poduszki, serwety, ozdoby choinkowe i inne ręczne roboty, — wszystkie wykonane przez strzeleczynie z całego Pomorza. Szczególnie podziwiany jest przez zwiedzających wystawę misterny i piękny naszyjnik z... peśńek ogórków.

Wystawę uzupełniono ceramiką, wykonaną w Kościerzynie, drzewnymi wyrobami przemysłu ludowego, zrobionymi w świecie w stylu kaszubskim, oraz ciekawymi obrazkami p. Hrebenowej z Torunia.

Z KLUBU WIOŚLAREK.

Dnia 15 grudnia 1934 r. odbyło się Walne Zebranie członków Warszawskiego Klubu Wioślarek. Przed zagajeniem odbyło się uroczyste wręczenie albumu jubileuszowego Prezesce Klubu p. dr. Zofji Zabawskiej-Domosławskiej, w uznaniu Jej wyjątkowych zasług dla Klubu w ciągu dziesięcioletniej prezesury.

W sprawozdaniach Zarządu i poszczególnych Sekcji przedstawiono działalność Klubu, który mimo ogólnego kryzysu, rozwija się, czego dowodem są liczne inwestycje tegoroczne i największe ilości w tym roku startów i zwycięstw regatowych.

Po ustąpieniu Prezeski p. dr. Zabawskiej-Domosławskiej, został wybrany nowy Zarząd jak następuje: Prezeska dr. Janina Tuwanówna, Vice-prezeski: Aniela Kuszówna i inż. Elżbieta Trembecka; Naczelniczka przystani Jadwiga Suffczyńska; Skarbniczka Anna Zacharjasówna; Sekretarka Marja Szypowska; Gospodyni lokalu Marja Jakubowska.

KOBIETY W PARLAMENCIE ANGIELSKIM.

Ze wszystkich kobiet, biorących udział czynny w życiu politycznym Anglii, niewątpliwie najwszechstronniejszą jest znana ze swych pamiętników, głośna i poza granicami swego kraju, lady Astor.

Wtajemniczona we wszystko, posłanka ta gotowa jest do dyskusji na wszelki temat i niejednego już ministra wprowadziła w zakłopotanie, dowiodłszy, że więcej wie o poufnych sprawach, tyjących się jego działu, niż on sam. Podczas ostatniej sesji parlamentarnej zadała rządowi 86 pytań, na które ministrowie musieli odpowiadać, co przeciągnęło o wiele godzin obrady parlamentarnej. A choć nieraz się zdarza, że mowy jej przerywane są przez przeciwników politycznych, nieustraszona lady nigdy nie ustępuje z placu, dopóki nie powie wszystkiego, co miała powiedzieć.

Jak donoszą jednak parlamentarne dane statystyczne, pomimo rekordowej liczby mów swoich, lady Astor mówi mniej, niż inne członkinie angielskiej izby gmin.

Tak np. dowiedziano się, że używa dwa razy mniej słów na mowy swoje, niż koleżanka jej, miss Eleanor Rathbone, przedstawicielka uniwersytetów angielskich, która mowy swe wygłasza z pedantyczną drobiazgowością.

Przeciwieństwem miss Rathbone, będącej jeszcze jakby echem tradycji edwardowskich i romantycznej kampanji sufrażystek, tak w ubiorze, jak i wystąpieniach swoich jest Megan Lloyd George, utalentowana córka byłego premiera. Posłanka ta odziedziczyła po ojcu sposób przemawiania zwięzły, a zarazem tryskający dowcipem i jest uważana za najdowcipniejszą kobietę w angielskim świecie politycznym.

Jedną z najbardziej dystygnowanych postaci kobiecych parlamentu angielskiego

księżna Atholl, jedyna członkini izby gmin, która zasiadała już w pierwszym rządzie ław izby w charakterze członka rządu. Księżna należy do najzawziętszych przeciwniczek bolszewizmu i będąc ministrem oświecenia, przeprowadziła już w szkołach wiele reform, hamujących wpływy komunistyczne.

Hrabina Iveagh, pomimo całej swej skromności osobistej, zaliczana jest do najrozsunniejszych kobiet angielskich. W parlamencie przemawia rzadko, gdy wszakże przemówi, to przykuwa do siebie uwagę wszystkich. Przyczyna tego jednak leży nie tylko w jej pociągających mowach, ale także w jej postaci. Zawsze bowiem bardzo wytwornie ubrana, wywołuje zachwyt godnością, z jaką potrafi nosić te stroje.

Mistress Tahe należy do najnowocześniejszych polityczek angielskich. Ostatnio nazwisko jej stało się głośne, gdy wystąpiła energicznie u władz hitlerowskich w interesie bezprawnie aresztowanej małżonki jednego z posłów niemieckich. Lubi się stroić i pełna jest kobiecości, choć w parlamencie umie przemawiać z energią i temperamentem prawdziwie męskim.

Miss Irene Ward broni dzielnie interesów okręgów przemysłowych Anglii północnej, które reprezentuje, rzadko jednak występuje publicznie, przekładając pracę poza kulisami parlamentu, w czym także celuje koleżanka jej, wysoce wykształcona, zawołana podróżniczką, miss Thelma Cazalet.

Mistress S. A. Ward, posłanka z okręgu Cannocks, broni z werwą i wytrwałością interesów rolnictwa swego okręgu, gdy tymczasem mistress Runge słynie jako rzeczoznawczyni we wszystkich sprawach, tyjących się wyścigów konnych i psich (w Anglii uprawiane są wyścigi chartów).

W sprawach polityki zagranicznej wybitną rolę, obok lady Astor, odgrywa posłanka miss Graves, przez czas dłuższy czynna w ministerjum spraw zagranicznych.

Wreszcie mistress Shaw znana jest i lubiana, z powodu krótkości swych przemówień, a miss Copeland — wysoce ceniona, jako znawczyni przemysłu garncarskiego.

Skala więc zainteresowań i działalności kobiet w parlamencie angielskim jest, jak widać z powyższego, bardzo rozległa.

OPODATKOWANIE BEZDZIETNYCH KOBIECZY W JUGOSŁAWII.

Podczas konferencji jugosłowiańskich lekarzy w Bled, postawiono wniosek specjalnego opodatkowania tych mężatek, które uchylają się przed obowiązkiem macierzyństwa. Uzyskane drogą tego podatku pieniądze, przeznaczone mają być dla ubogich rodzin, obarczonych licznym potomstwem. Wniosek powyższy zyskał duży poklask, a lekarze jugosłowiańscy postanowili przedłożyć go parlamentowi.

MARTYNIKA NA POLACH ELIZEJSKICH W PARYŻU.

W jednym z większych lokali na ulicy Champs - Elysées nastąpiło otwarcie wystawy kolonialnej. Zdjęcie przedstawia kobiety z Martyniki wykonywujące tańce krajowe.

ROCZNICA ŚWIĘTA REGIONALNEGO, T. ZW. ROCZNICA „ESCALADE” W GENEWIE.

352 rocznica obrony miasta Genewy przed Sabaudezykami była obchodzona uroczystie zapomocą odtworzenia niektórych epizodów historycznych. Na zdjęciu trębacz noszący godło miasta Genewy, odczytuje ludności proklamację.



WPRAWNE OKO I WPRAWNA RĘKA.

Studentki z Maryland Uniwersity (Stany Zjedn.) korzystają z każdego pogodnego dnia, aby uprawiać swój ulubiony sport—strzelanie do celu. Grupa studentek, którą widzimy na zdjęciu zdobywała już niejednokrotnie palmę zwycięstwa w zawodach strzeleckich.



BAL W KOMEDJI FRANCUSKIEJ.

Grupa rosyjskich śpiewaków, która występowała na Balu w Komedji Francuskiej urządzonym przez Związek Artystów.



TAJEMNICA WYSPI GALAPAGOS.

Jak wiadomo tajemnica szkieletów znalezionych na jednej z wysp Galapagos nie została jeszcze wyjaśniona. Istnieje przypuszczenie, że jeden z nich to śmiertelne szczątki Pani Margaretę Witmer, którą widzimy na zdjęciu, przed domkiem na jednej z wysp archipelagu, u góry syn Pani Witmer, dotknięty ślepotą od szeregu lat.

BOHATERSKA DZIEWCZYNA.

Dziewiętnastoletnia panna Georgette Moreau, córka paryskiego antykwariusza, idąc poprzez Quai de la Mégisserie, zauważyła inną młodą 17-letnią dziewczynę Marcelle Damont, rzucającą się w nurty Sekwany. Nie namyślając się ani chwili, panna Moreau wskoczyła do rzeki i wyratowała młodą desperatkę.



Pod względem szkolnictwa gospodarczego — pisze autor — prym wiodą Niemcy. Już w szkołach normalnych zapoznają się tam dzieci z pracą około gospodarstwa domowego, później zaś kształcić się one mogą w specjalnych, wzorowo prowadzonych, szkołach zawodowych.

Za Niemcami idą faszystowskie Włochy. Włoski Związek Pań Domu liczy 559.000 członków, które wspólnymi siłami starają się przeprowadzić w ojczyźnie racjonalizację poszczególnych gospodarstw. W celach propagandy i nauki budują we wszystkich większych miastach Włoch wzorowe domy różnych typów, stanowiące ideał pod względem mieszkania i gospodarowania. Ludziom na wsi służą do nauki i demonstracji odpowiednio urządzone samochody, objeżdżające najmniejsze i najodleglejsze wioski. Miasto Littoria, powstałe, jak wiadomo, na ziemi bagnistej, hodującej od setek lat tylko bakcyle febry, ma być symbolem odrodzenia idei „Sztuki gospodarczej“.

W Anglii zaprowadzono obecnie w szkołach normalnych, jako przedmiot obowiązkowy, naukę o gospodarstwie.

Ciekawym jest ruch wśród chłopców w Stanach Zjednoczonych. Domagają się oni sami nauki gotowania, nadającej się dla obozów letnich, następnie nauki o produktach żywnościowych, celem racjonalnego odżywiania się dla utrzymania zdrowia i powiększenia produktywności pracy; pragną wtajemniczać się wogóle we wszystkie prace dokoła gospodarstwa domowego. Nawet na uniwersytetach amerykańskich mają obecnie na życzenie młodzieży męskiej, zaprowadzić naukę gospodarstwa domowego. Może w przyszłości mężczyźni Ameryki będą dla nas konkurencją w dziedzinie pracy, która dotychczas była prawie wyłącznie naszą własnością.

Jak mieszka Radjo-Muza

Radjo - Muza jest najmłodsza, a więc jako kobieta jest w tym wieku, który się nam najbardziej podoba. Radjo - Muza jest wielce popularna, a że my wszystkie ploteczki z życia „osobliwości“ popularnych cenimy, więc nie od rzeczy będzie opowiedzieć coś o Muzie, np.: jak mieszka, jakimi się ludźmi otacza na co dzień, no i jaki jej jest stosunek do nas wszystkich.

Na Zielnej pod Nr. 25 w szarej, wyrastającej nieco ponad inne domy kamienicy, mieści się przytułek Muzy. Na drzwiach wejściowych — skromna tabliczka z napisem: „Polskie Radjo“. Naciskamy klamkę i wchodzimy — obszerny i wysoki haal dwa filary podtrzymują sufit. Cicho tu jest i poważnie — od razu zdajemy sobie sprawę, że mieszka tu ktoś bardzo artystycznie urodzony...

Więc chapeaux bas, płaszcz oczywiście też. Po białych marmurowych schodach wchodzimy na pierwsze piętro. Mały



Studjo odczytowe rozgłośni warszawskiej

przedpokój oświetlony dwiema lampami pajakami, rozlewającymi dokoła łagodny mleczny blask. Przed nami czworo drzwi. Wszystkie zamknięte.

No a co dalej? Dalej otwieramy drzwi i znajdujemy się w błękitnym saloniku, zwany pospolicie „Studjum kameralnym“. Ściany wybite są błękitnymi płytkami celoteksu, po bokach stoją dwa ciemno-szafirowe fotele, a w rogu kanapa. Pośrodku — czarne pianino, a przed nim „tron profesora“.



Drzwi wielkiego studja muzycznego.

sora Urste'na“. Tutaj akompanjuje on niewidzialnym przez nas, a więc jakże pięknym solistkom, śpiewakom, czy też skrzypkom... Tu w rozpylonym przez kryształowe żyrandole światło, błakają się skargi operowych aryj, czy też szalone, namiętne westchnienia i niekiedy echo włoskich pieśni... Wgłębi studja żyje mikrofon. Oczywiście w mikrofonie zamknięte są dusze wszystkich radjosluchaczy.

Ale nie mamy czasu. Przechodzimy do wielkiego studja — ściany białe, ozdobione wzorzystą sztukaterją — moc moc światła — kryształowy olbrzymi żyrandol, kinikiety boczne, w rogach stoją wspaniałe lampy — na wzniesieniu pulpit dyrygenta, a obok trzy koncertowe fortepiany.

W hebanowych szkatułach zamknięte drzewem cudowne melodie: mazurki, ballady i scherza, perelki uśmiechów i tragiczne skargi — korowód cieni wyczarowanych rękami wirtuozów czy też palczką dyrygenta...

To tu — a dalej z małego korytarzyka na prawo — studjo odczytowe. Małe przytulne, pełne wiadomości „dobrego i złego“, notowań giełdy zbożowej, odczytów i feljtonów. Tyle stąd wypłynęło w świat mądrych, a czasem jakże dobrych i kojących słów.

Znają to Państwo wszyscy — kilka słów spływających z głośnika i już jest inaczej. Ktoś bardzo blisko mówi do nas, tylko do nas...

A teraz przejdźmy jeszcze do studja speakerowskiego. Wchodzimy do równie małego pokoiku, obitego równie żółtymi płytkami celoteksu. Na biurku stoi mikrofon, oraz pełna tajemniczych lampek i guziczków skrzynka. Zapomocą tego skomplikowanego przyrządu, speakerzy mogą złączać i wyłączać mikrofony we wszystkich studjach. Z boku pod ścianą mieści się trzylampowy elektryczny gramofon. Stąd nadawane są płyty gramfonowe — zawrotne walce, upajające tanga i rytmiczne foxtrotty. Stąd z bladeżółtego złocistego saloniku dźwięczy głos pana Tadeusza, głos pani Janeczki i pana Zbyszka...

Pójdziemy teraz do studja literackiego — o piętro wyżej. Znów jesteśmy w dużym, wysłanym dywanami, miękkim i cichym salonie. Tutaj to właśnie są kulisy i scena „teatru i wyobraźni“. W tym zielonym pokoju, powstają najbardziej złudne obrazy rzeczy, których nigdy zobaczyć nie możemy — jest to scena, na której występują niewidzialni, z dźwięków utkani ludzie — których widzimy wyobraźnią dopiero wtedy, gdy ich głos dojdzie do naszych uszu.

Schodzimy wreszcie zamyśleni marmurowymi schodami ku wyjściu.

Tak mieszka Radjo-Muza, ale gdzież jest ona sama?

Ciałem Radjo-Muzy — jest dźwięk. Po powrocie do domu, kiedy usiądziemy ze słuchawkami na uszach i przykniemy oczy, zobaczymy ją wtedy napewno.

Ogrodnictwo i hodowla

HODOWLA KÓZ

Materiał rozplodowy, jak przy każdej hodowli, gra u kóz wielką rolę. Tak, jak przy krowach, istnieją bowiem sztuki więcej i mniej mleczne.

Za mleczną rasę uchodzi francuska biała, bezroga, znana i u nas doskonale. Kozy te są w porównaniu z innymi rasami, np. pignowską, toggenburską, znacznie delikatniejsze.

Mleczność tej rasy przeciętnie wynosi 1.000 l. rocznie, a wcale nie należą do wyjątków, sztuki dające 1.200 — 1.500 l. mleka.

U nas przeciętnie kupuje się na targu, to co jest pod ręką — najczęściej skarłowaciałe, po zgłodzonych i źle utrzymanych rodzicach.

I to także jest jednym z powodów ogólnego mniemania, że „kozy są nic nie warte“.

Zaznaczam ze szczególnym naciskiem, że jeśli można nabyć rasową kozę, po mlecznych rodzicach i o wiadomym pochodzeniu, to zawsze opłaci się za nią zapłacić drożej. Wydatek ten sówicie procentuje. Kupując kozę, należy przede wszystkim zwrócić uwagę na jej wygląd i budowę.

Powinna ona być wydłużoną, z szeroką pierśią, nogi mieć niezbyt wysokie, a szeroko rozstawione, uda zwięzłe i dobrze rozwinięte. Wymię powinno być duże, miękkie, daleko ku tyłowi osadzone.

Przestrzec trzeba przed nabywaniem sztuk, o wymieniu bardzo mięsistym, gdyż to naogół oznacza małą mleczność.

Dobrego kozła można poznać po zwięzłej budowie ciała. Powinien mieć silną głowę, osadzoną na zgrabnie wygiętej, ale niezbyt grubej i długiej szyji.

Nogi kozła powinny być szeroko rozstawione, grube i niskie.

Oko powinno być bystre, cały wygląd wesoły i możliwie łagodny.

Przeciętna waga dorosłej kozy waha się od 35 — 45 kg., wyjątkowo tylko więcej.

Włos mlecznej kozy powinien być miękki, lśniący i dobrze przylegający.

Kozy dojrzewają bardzo szybko, ale ze względów zdrowotnych, używać ich do rozplodu nie należy zbyt wcześnie. Odbija się to bowiem ujemnie, zarówno na potomstwie, jak i na mleczności matki. Zbyt wcześnie użyte do rozplodu kozły wyczerpują się szybko.

Kozy po skończonym 9-tym miesiącu, a kozły po skończonym 15-tym miesiącu, należy uważać za dojrzale i parować.

Kozy latują się głównie w październiku i w listopadzie, koca w marcu i kwietniu.

Kozłat rodzi się zazwyczaj jedno, dwoje, a wyjątkowo trzy sztuki. Kozą może wykarmić najwyżej dwoje dzieci. Trzecie należy dać takiej matce, która miała tylko jedno, lub też, co łatwiejsze, wychować na flaszcze.

Dobrze żywiony cap może pokryć rocznie około 80 kóz.

Kozłeta, albo dopuszczamy do matki, albo karmimy od razu ze skopka. W pierwszych dniach ustalono dawać 6 razy na dzień, dając na raz po trochu mleka, aby kozłat nie przepoić, bo wywołuje to u nich poważne zaburzenia kiszki. Do 6 tygodni trzeba dawać mleko pełne, potem można dolewać polewki z siemienia lnianego, lub kaszy owsianej.

Gdy kozłeta zaczyna brać się do jedzenia, należy mu dawać siano, a gdy się do niego dobrze przyzwyczai, świeżą zieleninę. Później, dokarmiamy kozłeta śrutą owsianą, gotowaniami kartoflami z osypką i t. p.

Przy żywieniu kozy mlecznej, trzeba sobie przede wszystkim uświadomić jasno, że kozą mleka z powietrza nie robi, a jest jedynie fabryką, która różne odpadki domowe i paszę treściwą na mleko przerabia.

Najlepsze i najzdrowsze mleko otrzymujemy przez wypasanie kozy na pastwisku. System ten najlepiej odpowiada naturze zwierzęcia.

Przy pasieniu kozy godnym uwagi jest to, że kozą nie będzie się paść, jak krowa na jednym miejscu, a wyszukuje sobie poszczególne zioła, kwiaty i korzonki, które z apetytem zajada. Przy zestawieniu zimowej paszy dla kozy, należy te jej gusta uwzględnić. Oprócz słodkiego siana, należy zbierać już w maju i czerwcu liście dębu, brzozy, buku, lipy, orzecha laskowego i t. p. Pociąć je drobno na sieczkarni i doskonale wysuszyć. Wartość odżywcza takich liści jest bardzo duża. Oprócz tego, należy zbierać i suszyć bardzo przez kozę lubione zioła, jak: koper, kminek, rumianek, mięta pieprzowa, gorczyca i t. p. Mały dodatek tych ziół do karmy, wpływa nie tylko dodatnio na zdrowie kozy, ale i bardzo podnosi smak mleka.

Z okopowych, wyśmienitą karmą dla kozy będą przede wszystkim bulwy, które ona bardzo chętnie jada i to nie tylko same kłęby, ale i liście, a nawet łodygi; dalej buraki cukrowe i pastewne, brukiew,

marchew, kartofle i t. p. Z pasz treściwych, wszelkie makuchy, otręby pszenne, wszelkie zboża i t. p.

Dodatek musi stanowić uzupełnienie codziennej dawki karmy. Skarmiać kozą można również słomę owsianą i plewy łupiny z łubinu, które stanowią dla kozy zdrowy pokarm.

Przejsście z karmy suchej, na zieloną i odwrotnie, musi się odbywać stopniowo, inaczej powoduje zaburzenia w trawieniu.

Kozę, tak samo, jak krowę trzeba dwa razy na dzień poić — dajemy tu najlepiej dobre pomyje, lub też polewki. — Zimą koniecznie należy dawać pójkę ciepłą.

Pokarm trzeba dawać potrochu, nie wiele na raz, bo inaczej kozą dużo marnuje.

Latem, jeśli kozą stoi w komórcie, trzeba ją karmić 5 razy dziennie; zimą wystarczy trzykrotne zadawanie paszy.

Kozą, która daje więcej niż 1 litr mleka, musi otrzymywać paszę treściwą.

Karma kozy musi być zawsze świeża, nie spleśniała, ani stęchła, bo to zwierzętom bardzo szkodzi.

Dawka zimowa dla kozy: 1½ kg. siana łąkowego; 1 kg. gotowanych łupin z kartofli z dodatkiem ¼ kg. otrąb pszennych; ½ kg. buraków, lub marchwi, oraz poidło z czystych pomyj, z dodatkiem ¼ otrąb i odrobiny soli.

Oczywiście, skład paszy zmieniać się musi w każdym gospodarstwie, bo kozą skarmiać należy przede wszystkim odpadki domowe. Codziennie, należy dawać kozie na zmianę po jednej łyżce — jako „okrasę“ paszy: suszony kminek, jałowiec, Holender, mięta pieprzowa, rumianek i t. p. Dodatek tych ziół jest szczególnie ważny, jeśli chodzi o mleko dla niemowląt.

Dziwnym jest, że trujące rośliny jak np. ostromlecz, których inne zwierzęta nie tykają, kozie nie tylko nie szkodzą, ale stanowią dla niej przysmak.

Kozą powinna mieć stale w żłobie bryłkę soli, którąby mogła pobierać w dowolnej ilości. Przy trzymaniu kozy w stajni, należy ją dwa razy na dzień wypuścić, przynajmniej na godzinę, aby mogła dowolnie się wybiegać i użyć ruchu. Warunku tego lekceważyć sobie nie należy, gdyż jest on dla zdrowia zwierzęcia nieodzowny.

Stajenka, przy hodowli kóz, odgrywa dużą rolę. Musi być dostatecznie obszerna, widna i przede wszystkim sucha. Pamiętać należy, że wilgoć bardzo zwierzętom tym szkodzi. Na zimę należy ją

dobrze opatrzyć, pamiętając, że gdy kozy mają zimno, bardzo dużo paszy idzie na ogrzanie ich organizmu.

Nie należy zaniedbywać wietrze-
nia i starać się, aby koza miała za-
wsze czyste powietrze.

Czystość jest rzeczą bardzo waż-
ną. Ściółka pod kozy musi być tak
obfita, aby nigdy nie miały mokro.
Używać tu będziemy słomy, liści,
trocin, miału torfawego i t. p. ma-
terjałów pochłaniających wilgoć.

Samo zwierzę musi być bezwa-
runkowo co dzień porządnie czy-
szczone i, od czasu do czasu, my-
te. Pamiętać trzeba, że dowiedzi-
nym jest, że czysta koza daje
więcej mleka, niż brudna, nie mó-
wiąc już o jakości i wartości higie-
nicznej tego mleka.

Przez czyszczenie, nietylko bo-
wiem otwiera się pory skóry, ale
pobudza się apetyt, lepsze trawie-
nie i ogólny stan zdrowotny. My-
cie i czyszczenie chroni skórę przed
wszami, które stanowią jej plagę
i bardzo zmniejszają wydajność
użytkową.

Kozę porównać można z kasą
oszczędności skrzętnej gospodyni,
bo przy takiej odbiorczyni, nie się
w gospodarstwie domowym nie
zmarnuje: wszelkie odpadki, obier-
ki, pomyje, okruszyny i t. p. prze-
robi ona na doskonałe mleko, a
jeszcze w procencie da czubaty
wóz nawozu, który bardzo się przy-
da w ogródku.

ŹLE NIOSĄCE SIĘ KACZKI

Zagadnienie hodowli kaczek r-
jaja to sprawa bardzo ważna, któ-
ra wymaga jednak jeszcze wielu
prób.

Są rasy i poszczególne sztuki,
których niesność nietylko dorów-
nuje, ale nawet przewyższa kury
pod tym względem. Pamiętać jed-
nak trzeba, iż niesienie się u ka-
czek jest podobnie jak i u kur ce-
chą indywidualną. U kur od poko-
leń prowadzi się odpowiednia se-
lekcję w tym kierunku, podczas
gdy na tę stronę użyteczności ka-
czek zwrócono uwagę stosunkowo
niedawno.

Są np. takie kaczki, które się
jeszcze w czwartym roku dosko-
nale niosą. Inne już w drugim,
trzecim zapasają się tak, że są do
tego celu zupełnie niezdatne. Ta-
kie oczywiście z hodowli powinny
być usuwane.

Racjonalne karmienie ma tu
również wpływ olbrzymi. Do-
świadczenie uczy, że kaczka nie
lubi zmiany pokarmu i że się to u-
jemnie odbija na niesieniu.

Kaczki w ciągu całego okresu
znoszenia jajek powinny być tak

karmione jak do tego przywykły
na początku.

Również nie lubią te ptaki zmi-
ny kurników, ani nawet zmiany
podściółki.

Tak np. jeśli one raz przywykły
spać na torfie lub słomie, to nie
należy tego zmieniać.

Bardzo ważną jest rzeczą sama
budowa kaczki i selekcja pod tym
względem musi być bardzo suro-
wa. Już młode kaczki poddaje-
my bardzo starannym ogędzinom
i nieodpowiednie sztuki odrazu z
hodowli usuwamy.

Dobra, nieśna kaczka nie może
być za tłusta, powinna ona być ra-
czej chuda i mieć wybitnie opusz-
czony brzuch.

Wprawdzie zapasione kaczki
mają również obwisły brzuch jed-
nak dzięki warstwie tłuszczu jest
on twardy, podczas gdy powinien
być miękki.

Najłatwiej jest rozpoznać tłuszcz
w miejscach pod skrzydłami, gdzie
niema piór, a jest tylko puch.

Chuda kaczka ma skórę luźną,
zaś tłusta mocno naciągniętą.

Wiele kaczek już po roku nie-
sienia się, zamienia pokarm za-
miast na jaja na tłuszcz — jest to
zresztą cechą normalną, właściwą
naturze kaczki, ale gdy hodujemy
kaczki głównie na jaja bezwzględ-
nie szkodliwą. Te egzemplarze po-
winny być z hodowli usunięte.

Są tu i inne oznaki. Dobrze nio-
sące się kaczki nie są płochliwe i
zbyt ruchliwe, naodwrot nerwo-
we i zbyt smukłe kaczki źle się
naogół niosą.

ZIEMIA A WPLYWY ATMOSFERYCZNE

Wpływy atmosferyczne mają na
urodzaje i na strukturę gleby
wpływ olbrzymi. Dobry rolnik
musi uprawę ściśle do tego stoso-
wać, gdyż tylko wtedy może mieć
dobre rezultaty.

Co roku mamy inną pogodę.
Przychodzą okresy suche, mokre,
zimy ciężkie lub łagodne. Na
strukturę gleby ma to zawsze swój
wpływ. Nawet i wiatr może wy-
wierać dobroczynny lub szkodliwy
wpływ, zależnie od obróbki ziemi.

Najważniejszym czynnikiem po-
zostanie jednak zawsze mróz —
jest on najlepszym pomocnikiem
przy obróbce ziemi.

Mróz rozsadza twardą ziemię
właśnie tam, gdzie ona jest najści-
ślej złożona, podczas gdy nasze nar-
zędzia rozbijają ją tam, gdzie ona
jest już luźna.

Dlatego też, o ile tylko można,
każdy kawałek ziemi powinien

być jesienią poruszony i przeko-
pany.

Wskutek mrozu rozsypują się też
wielkie skiby, co dla późniejszego
rozwoju roślin posiada duże zna-
czenie.

Szczególnie duże znaczenie ma
mróz dla ziem ciężkich, gliniastych,
które pod jego wpływem stają się
przewietniejsze i wogóle nabiera-
ją lepszej struktury.

Na ziemi lekkie, piaszczyste
mróz nie ma tak wielkiego wpły-
wu, ale znów tych typów ziemi nie
powinno się pod żadnym pozorem
obrabiać wiosną, a zawsze tylko je-
sienią, a to dlatego, że znów przy
wiosennej obróbce wiatr by je
zbyt przesuszył i zabrał im na-
gromadzone zimą zapasy wilgoci.
Coby bardzo obniżyło jej urodzaj-
ność.

Drugim motywem, który każe
stosować obróbkę jesienną ziem
lekkich jest ten, że w poruszoną
glebę wilgoć lepiej i głębiej wsiąka.

Jesienna orka powinna zosta-
wiać ziemię o powierzchni możli-
wie nierównej, aby mróz i śnieg
miał jak największą przestrzeń.
Przeciwnie, wiosenna uprawa musi
iść w kierunku oszczędzania na-
gromadzonej wilgoci (u nas są
zwykle suche wiosny) — dlatego
też zaraz z wiosny, gdy tylko zie-
mia zaczyna wysychać i gdy skiby
zaczynają nabierać jaśniejszej bar-
wy, należy pole przejść włóką, a
w braku jej odwrócić do góry zę-
bami broną. Na małych przestrze-
niach równamy powierzchnię zie-
mi tyłcem grabi. Zabieg ten ma
na celu przerwanie systemu włos-
kowatych rureczek, a tym sa-
mym samym uniemożliwienie
podsiąkania wilgoci, oraz zmniej-
szenie powierzchni parowania.

Odwrotnie, jeśli chodzi nam o
wyzyskanie wilgoci z głębszych
warstw np. w razie konieczności
siewów z suchą ziemię — wtedy na-
leży się uciec do wałowania.

Tak więc uprawa musi być za-
wsze dostosowaną do gatunku gle-
by i do warunków atmosferycznych
danego roku.

Marja Dąbrowa.

Czytelniczki

nasze

prosimy, aby żądały pism kobiecych
we wszystkich kawiarniach, cukier-
niach, restauracjach i t. d.

Dom i gospodarstwo

PAPIERY

Jest ich w każdym domu pod dostatkiem.

Papiery wartościowe, dokumenty, listy, papiery pamiątkowe, wezwania płatnicze, rachunki, czasopisma i dzienniki, wreszcie papiery, w których przywozimy i przynosimy z miasta paczki.

Zależnie od ładu, jaki panuje w domu, mają one swoje określone miejsce, albo tułają się po kątach, zaśmiecają dom i zawsze, gdy są najpotrzebniejsze „gdzieś się zrzucają”.

A przecież zarówno *papiery*, jak i *papier* mają swój przydział, który nie zasługuje na bagatelizowanie.

Zarzucając rachunki, pokwitowania, dokumenty, listy o ważnej treści stwarzają w życiu chaos, są podstawą wielu kłopotów i poważnych strat materialnych, albo moralnych.

Są pomiędzy niemi takie, które wymagają, po zapoznaniu się z ich treścią, natychmiastowego zniszczenia, te które nie powinny być dostępne niczyjej ciekawości, nie mogą stwarzać precedensu do niedyskrecji. Są znów całe szeregi innych, wymagających bezwzględności, systematycznego przechowania.

Zarówno w życiu prywatnym, jak i w życiu pracy, każdy papier musi mieć swoje miejsce, musi znajdować się pod ręką właśnie w chwili, kiedy jest nam niezbędnie potrzebny.

gorączkowe przerzucanie teczek, wypróznianie szuflad w poszukiwaniu niezbędnego w danej chwili papieru, czy dokumentu jest podstawą zdenerwowania i dowodem nieporządku, na które w życiu zorganizowanym nie może być miejsca. To też w imię dobrych postanowień, jakie wiele z nas powzięło u progu rozpoczynającego się roku, niech znajdzie się i mocne postanowienie, wprowadzone w czyn, bez zwłoki, *uporządkowania archiwum*.

Przeznaczmy bezpieczne, odpowiednio miejsce dla dokumentów o ważności nieprzemijającej, trwałej; stwórzmy jakiś bezpieczny schron rachunkom bieżącym, oddzielny już zapłaconym i pokwitowanym.

Szuflada, czy szufladka, w której przechowujemy korespondencję osobistą, niech ma zamek w porządku, a kluczyk od niej niech nie leży nigdy na wierzchu, a co gorsze nie zmienia tego miejsca zależnie od

JEDWABISTA, MATOWA CERE



skali chwilowego roztrzępania właścicielki.

Papiery pamiątkowe: listy od osób zmarłych, pamiątki rodzinne, najróżnorodniejsze dokumenty przeszłości, które mają swoją wartość dla każdej z nas, muszą być w specjalnym, pełnym pieczyzmie poszanowaniu. Dla nich przeznaczamy jakieś zamknięte na misterny kluczyk szkatułki, skrytki w antycznym sekretarzyku — miejsca ustronne, ciche, pełne nastroju i skupienia.

Pozornie mało wartościowe stosy papierów, na które składają się przeczytane dzienniki i przeróżne pisma, nabywane dorywczo, lub abonowane, są tylko *pozornie* bezwartościowe.

Przydają się one w każdym domu, szczególnie jeżeli są w należytym poszanowaniu.

Zastosowanie przeczytanych dzienników jest podwójne: użytkowe i dochodowe. Jeżeli gromadzimy je systematycznie, nie obchodzimy się z nimi w sposób nacechowany wandalizmem, bywają nieraz pogotowiem ratunkowym (z punktu widzenia materialnego) co prawda na bardzo nikłą skalę, ale jakże opatrnościowym.

Gdybyśmy nawet najbardziej pogardzały drobnymi wpływami, co dzisiaj rzadko się zdarza, kilkanaście, a tembardziej kilkadziesiąt kilogramów papieru, o stałej stosunkowo wysokiej cenie, papieru łatwo sprzedażnego, nie może być inaczej uważane, jak za miły uśmiech losu.

To też stwórzmy dla przeczytanych dzienników rezerwaty. Przewidywaniem przyuczmy domowników do składania ich na miejscu zgóry oznaczonym, gdzie powinny

być przechowywane conajmniej z jednego tygodnia, a lepiej z całego miesiąca w stanie nienaruszonym, gotowe do ponownego przejrzenia w razie potrzeby.

Zwiększając się z tygodnia na tydzień kolekcję będziemy systematycznie składały w paczki i wiązały, aby je ukryć w bezpiecznym miejscu przed zaborczością wiecznie głodnych papieru rąk naszych pomocnic domowych. Bo trzeba przyznać, że w tych właśnie rękach papier poprostu się pali. Nigdy go niema za dużo, jest on zgóry uznany za coś bezwartościowego, za coś, co można i należy zużywać bez ograniczenia.

Temi właśnie niedocenianymi gazetami osłania się nieporządnie utrzymaną płytę kuchenną, zaścieła źle utrzymane półki w kredensach, śpiżarniach, zużywa się je masowo przy rozpalaniu ognia, polyka się je z apetytem wprost zadziwiającym.

Papier wydzielany przez panią domu budzi grymas politowania, który nie powinien jednak zachwiać naszym mocnym postanowieniem ukrócenia marnotrawstwa.

Zgoła inny los powinien spotkać czasopisma ilustrowane i prenumerowane sporadycznie tygodniki i dwutygodniki.

Jeżeli nawet gromadzenie roczników nie przedstawia dla nas specjalnego zainteresowania, pamiętajmy o tych licznych rzeszach ludzi, pozbawionych możliwości prenumerowania, lub nabywania pism, ludzi czekających na dobrą wolę uprzywilejowanych, którzy chcieliby podzielić się z niemi przeczytanymi pismami.

Mamy zresztą czytelnie, szpitale, przytułki, które czekają tylko na ofiarność jednostek i przyjmują ją zawsze ze szczerą wdzięcznością.

Docenianie wartości pogardzanego w wielu domach papieru, prowadzi do niebezpiecznego kolekcjonerstwa, niebezpiecznego z punktu widzenia zagrożonego porządku zaprzęciem stosunkowo szczupłego w dzisiejszych mieszkaniach miejsca.

Nie niszczyć bezmyślnie papieru, nie znaczy bynajmniej gromadzić stosy, które leżą zakurzone po kątach, kryją się pod meblami, utrudniają sprzątanie.

Wartościowe treści powinny mieć normalny, celowy, stały odpływ — bezwartościowe odbiorców, którzy nabędą papier „na wagę”, tworząc w ten sposób niewielką, ale zawsze pożądaną rubrykę wpływów.

Wanda Dobrzańska.

Przepisy kulinarne

Kremy i galarety.

Krem ponczowy. Proporcja: 5 cytryn, 2 kieliszki wyborowego, mocnego rumu, 40 dkg. cukru, 10 jaj, 25 gr. białej żelatyny.

Ubić żółtka z pudrem do białości. Gdy już będą gęste i pulchne wlać przez gęste sitko sok z 5 cytryn. Postawić na zakrytej fajerce, ubijać trzepaczką, podgrzewając do zagotowania, jednak nie zagotować. Zdjąć krem z ognia, postawić na lodzie i ubijać trzepaczką, aż do wystudzenia.

Zawczasu namoczyć żelatynę w obfitej zimnej wodzie, gdy zwiotczeje wycisnąć mocno i rozpuścić w odrobinie wrzącej wody. Do wystudzonego kremu wlać dwa kieliszki mocnego aromatycznego rumu i żelatynę. Wymieszać doskonale i dalej ubijać. Gdy gęstnieć znacznie dodać pianę z pozostałych białek. Wymieszać. Ozdobną formę wymyć bardzo czysto, wypłókać zimną wodą, wyprószyć mialkim cukrem, ułożyć w niej krem, wstawić w lód, żeby doskonale zamarznął.

Wydając na stół obetrzeć formę serwetą umaczaną w ukropie i doskonale wyżętą, albo zanurzyć na sekundę w gorącej wodzie. Wyjąć na ozdobny okrągły półmisek, albo na duży talerz szklany, przybrać ziarnkami winogron i oczyszczonymi z białych włókien ćwiarteczkami mandarynek bez pestek.

Krem pomarańczowy. Proporcja: 2 białe i 2 malinowe pomarańcze, 1 cytryna, 6 jajek, 20 dkg. cukru w kawałkach, 25 gr. białej żelatyny.

Otrzeć cukier o skórkę z pomarańcz, utłuc mialko, ubić do białości z żółtkami. Ubijać w garnku kamiennym. Gdy żółtka są już gęste i pulchne postawić garnek na gorącej zakrytej fajerce, dodać sok pomarańczowy i cytrynowy poprzedzony przez gęste sitko, wymieszać. Podgrzewać do zagotowania ciągle ubijając.

Wymoczoną w zimnej wodzie żelatynę odcisnąć, rozpuścić w szklance ukropu, przestudzić. Do wystudzonego kremu dolać stopniowo żelatynę, ubijać trzymając naczynie z kremem na lodzie. Oddzielnie ubić sztywną pianę z pozostałych białek. Dodać ją do gęstniejącego kremu, lekko wymieszać. Złożyć w formę wypłókaną zimną wodą i wyprószoną mialkim cukrem, wyrównać po wierzchu. Wstawić formę w lód, a gdy krem stężeje i doskonale zamarźnie wydawać na okrągłym półmisku przybrany kawałeczkami ananasa i ćwiartkami mandarynek, albo pomarańcz.

Krem mrożony z owocami. Proporcja: litr śmietanki kremowej, 20 dkg. cukru pudru, trochę sproszkowanej wanilii, szklanka osączonej z syropu konfitur, albo drobno krajanych owoców osmażanych. Lód i sól do zamrożenia. Makaroniki.

Litr śmietanki kremowej wlać w duży, głęboki rondel, postawić w lodzie na dwie godziny.

Gdy już dostatecznie zamrożona, ubijać trzepaczką do spienienia. Gotowy krem cukrować przez sitko pudrem osianym ze sproszkowaną wanilią i ciągle ubijać. Do-

dać osączone z syropu i lekko obsuszone konfitury, albo owoce smażone pokrajane w kawałki, wymieszać. Złożyć do puszek od lodów, obsypać ją drobno tłuczonym lodem, obficie wymieszanym z grubą sółą, nakryć puszkę kocem, pozostawić tak na przeciąg kilku godzin.

Wydając krem na stół obetrzeć puszkę ścierką umaczaną w ukropie i doskonale wyżętą, wypuścić krem z formy na okrągły półmisek wysłany ładną haftowaną (białą) serwetką. Przybrać owocami osmażanymi i maleńkimi makaronikami.

Krem z kasztanami. Proporcja: litr śmietanki kremowej, 20 dkg. cukru pudru, pół kg. kasztanów.

Umyć czyste kasztany, ponaciąć czubki, odrzucić zepsute kasztany. Zdrowe zalać wodą, dając jej tyle, aby zupełnie przykryła kasztany, gotować pod przykryciem dopóki nie będą zupełnie miękkie.

Obrać z wierzchniej skóry i cienkiej skóreczki jaka się pod nią znajduje, a gdy wystygną przetrzeć przez sito, albo zmielić na młynku od migdałów.

Zamrozić śmietankę, jak wyżej, ubić na sztywną pianę, cukrując przez sito (patrz krem mrożony). Wstawić gotowy krem w lód. Wydając na stół ułożyć pośrodku ozdobnego okrągłego półmiska piramidkę z kremu, otoczyć ją wieńcem przecieranych kasztanów, uważając, aby ich nie pognieść przy obsypywaniu.

Galarety.

Galareta pomarańczowa. Proporcja: 8 malinowych pomarańcz, 2 cytryny, 60 dkg. cukru, 5 szklanek wody, 4 dkg. żelatyny.

Cukier w kawałkach obetrzeć o skórkę pomarańcz. Włożyć do czystego rondla, zalać pięcioma szklankami wody, sokiem wyciśniętym z dwóch cytryn i poprzedzonym przez gęste sitko. Gotować chwilę szumując bardzo starannie.

Wlać syrop do fajansowej salaterki, a gdy przestygnie dodać sok wyciśnięty z pomarańcz i starannie poprzedzony, wreszcie dodać wymoczoną w zimnej wodzie, odcisniętą i rozpuszczoną w odrobinie ukropu białą żelatynę. Wymieszać. Zlewać stopniowo do formy, układając na każdej tężejącej warstwie plasterki malinowych pomarańcz, albo osączone z syropu i lekko obsuszone (tak żeby nie farbowały galarety) konfitury.

Przed zlanie galarety wypłókać formę zimną wodą.

Wydając galarete na stół ubrać ją osmażaną w cukrze skórką pomarańczową i konfiturami osączonymi z syropu. Powinna być bardzo dobrze ochłodzona, bo tylko wtedy jest prawdziwie smaczna i odświeżająca.

Mus cytrynowy. Proporcja: 6 cytryn, 60 dkg. cukru w kawałkach, 5 szklanek wody, 25 gr. białej żelatyny.

Otrzeć cukier o skórkę cytryn, włożyć do rondla, zalać pięcioma szklankami wody i sokiem cytrynowym poprzedzonym przez sitko. Gotować na wolnym ogniu dopóki

się cukier całkowicie nie rozpuści. Wyszumować. Żelatynę wymoczyć w zimnej wodzie, odcisnąć, rozpuścić w odrobinie ukropu.

Dodać żelatynę do syropu cytrynowego, wstawić naczynie na lód, ubijając trzepaczką dopóki mus nie zrobi się zupełnie biały i gęsty. Wtedy wlać w formę wypłókaną zimną wodą i wyprószoną mialkim cukrem, wpuścić formę w lód, doskonale zamrozić. Wydawać na stół przybrany konfiturami z osączonych czereśni żółtych i biało-różowych.

Galareta z białego wina z jabłkami. Aromatyczne jabłka deserowe obrać ze skórek, wydrążyć środki, pokrajać na plasterki, zaciśnąć sokiem cytrynowym, skropić paroma łyżeczkami araku, posypać cukrem pudrem

Zmieszać 5 szklanki białego wina z jedną szklanką wody, dodać 40 dkg. cukru w kawałkach otartego o skórkę pomarańczową, sok z dwóch cytryn i jednej pomarańczy, zagotować, wyszumować, przestudzić. Rozpuścić 25 gr. białej żelatyny, postępując jak wyżej, dodać do galarety. Wlać w formę wypłókaną zimną wodą trochę galarety, gdy tężeć zacznie ułożyć na galarecie warstwę jabłek osączonych z soku, dać znów galarete, jabłka i postępować tak aż do wypełnienia formy. Wierzchnia warstwa powinna być z galarety. Zamrozić.

Świeże owoce w galarecie. Przyrządzić słodką galaretkę o dowolnym smaku, np.: pomarańczową, cytrynową, z białego wina. Ułożyć na kryształowej salaterce warstwę plasterków jabłek aromatycznych, zalać galaretką, dając jej tyle, aby owoce nie spłynęły. Gdy pierwsza warstwa tężeć zacznie ułożyć na niej plasterki malinowych pomarańcz, znów zalać galaretką, dać ziarnka winogron, galaretkę, plasterki dojrzałych bananów i znów galaretkę. Poławać w salaterce przybranej powierzchu plasterkami pomarańcz i ziarnkami winogron.

Melba.

**Wydawnictwo
„ŻYCIE PRAKTYCZNE,”**

**POLECA
DOSKONAŁĄ
KSIĄŻKĘ**

p. t.

**„POTRAWY
Z JARZYN”**

która zawiera 29 przepisów przyrządzania potraw z jarzyn.

Cena 1 zł. Z przes. poczt. 1 zł. 30 gr.

Do nabycia w Tow. Wyd. „BLUSZCZ”
Warszawa, Solec 87 i Świętokrzyska 17.
Konto. P. K. O. 12.200.

M
o
d
n
e
j
u
m
p
r
y



Czarro - biały jumper robiony szydelkiem.
Oryginalny śliniaczek do wkładania osob-
no, zrobiony z czarnej wełny z białym
brzegiem. Monogram może być haftowany.
Wełniany zakład trykotowy w kolorze beige.
Bronzowy skórzany pasek i drewniane gu-
ziki.



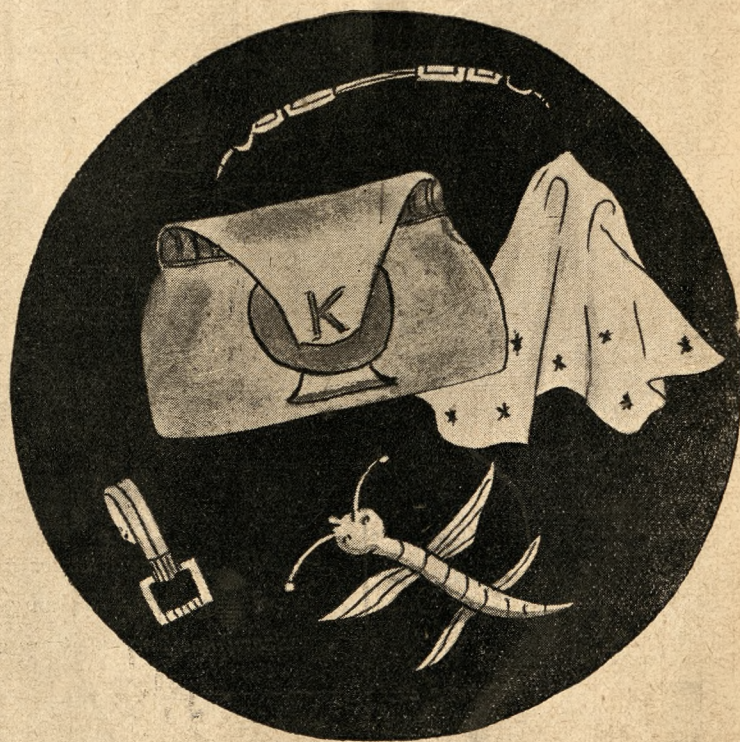
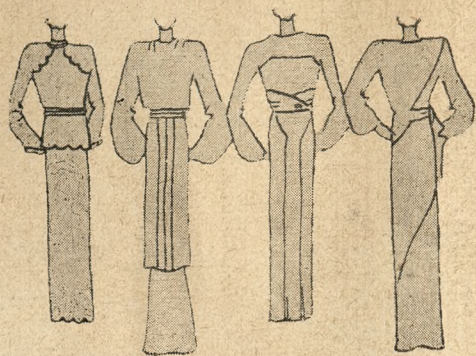
Sporty zimowe



- 1) Granatowe spodnie, czerwona bluzka i biała kamizelka. Szalik i czapka trykotowe.
- 2) Spodnie brązowe. Angielska bluzka z flaneli w kratę. Z tego samego materiału czapka. Brązowy szalik z czerwonym monogramem.
- 3) Granatowe spodnie, kurtka z materiału imitującego futro.



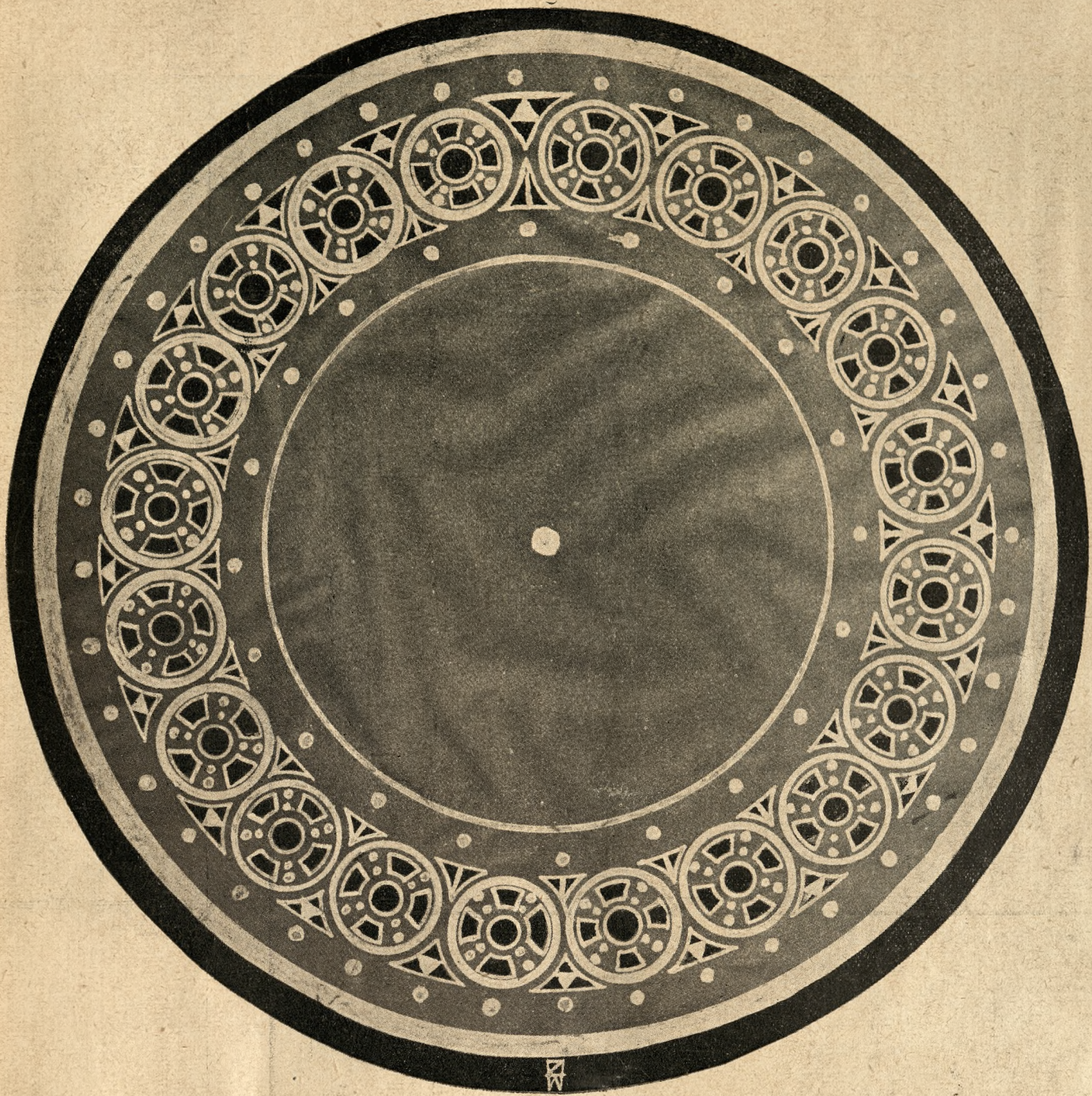
*Angielski sportowy płaszcz na futrze. Kołnier i guziki z futra.
Jasno-beige palto sportowe. Rękawy, krawat i pasek z agneau rasé.
Szary kostjum sportowy z grubej wełny obszyty futrem.*



Skromna suknia wizytowa z czarnej wełny. Mały aksamitny kołnierzyk.
Krawat z czarno - białego lacet.

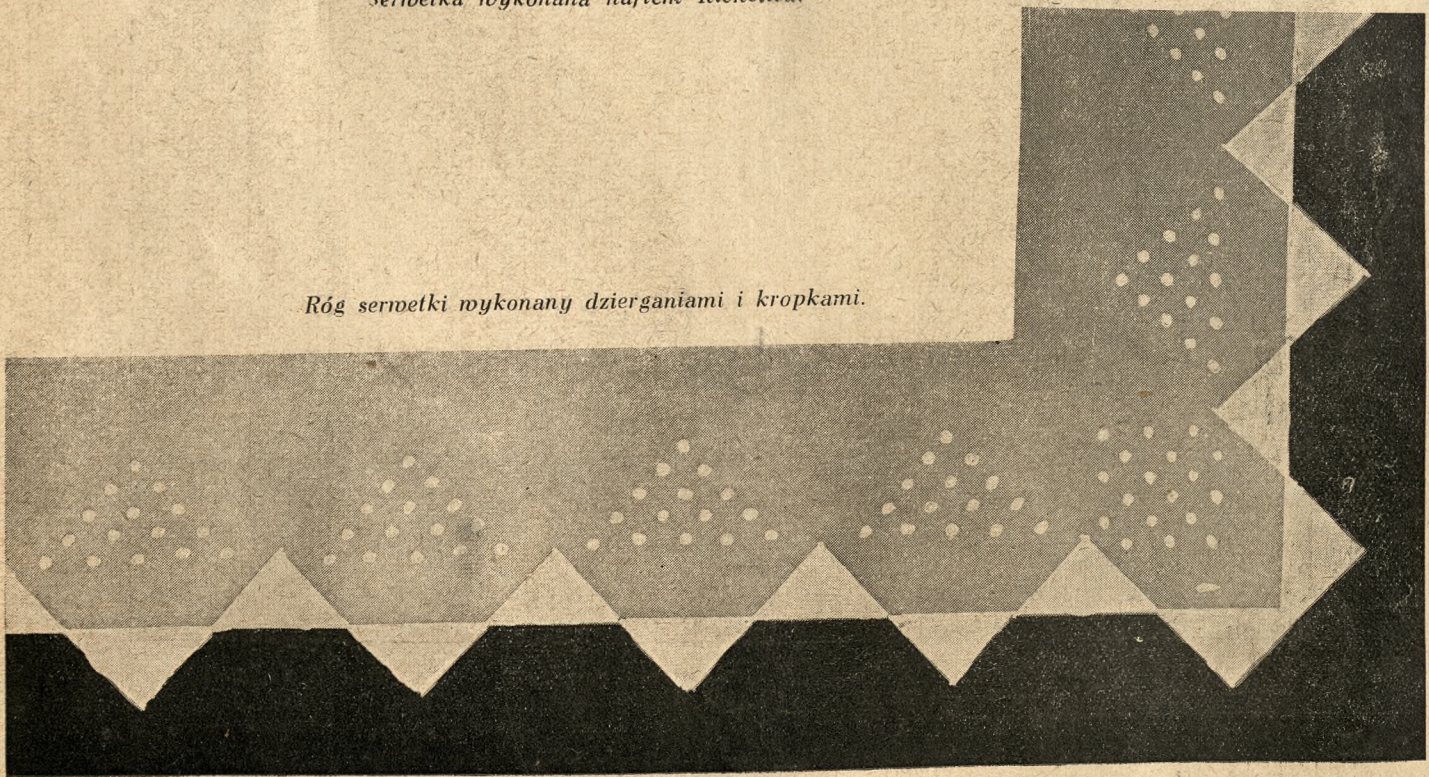
Wizytowa suknia - kasak. Spódnica z matowego crêpe marocain, kasak
z błyszczącego satin w dowolnym kolorze. Przy szyi modny klips.

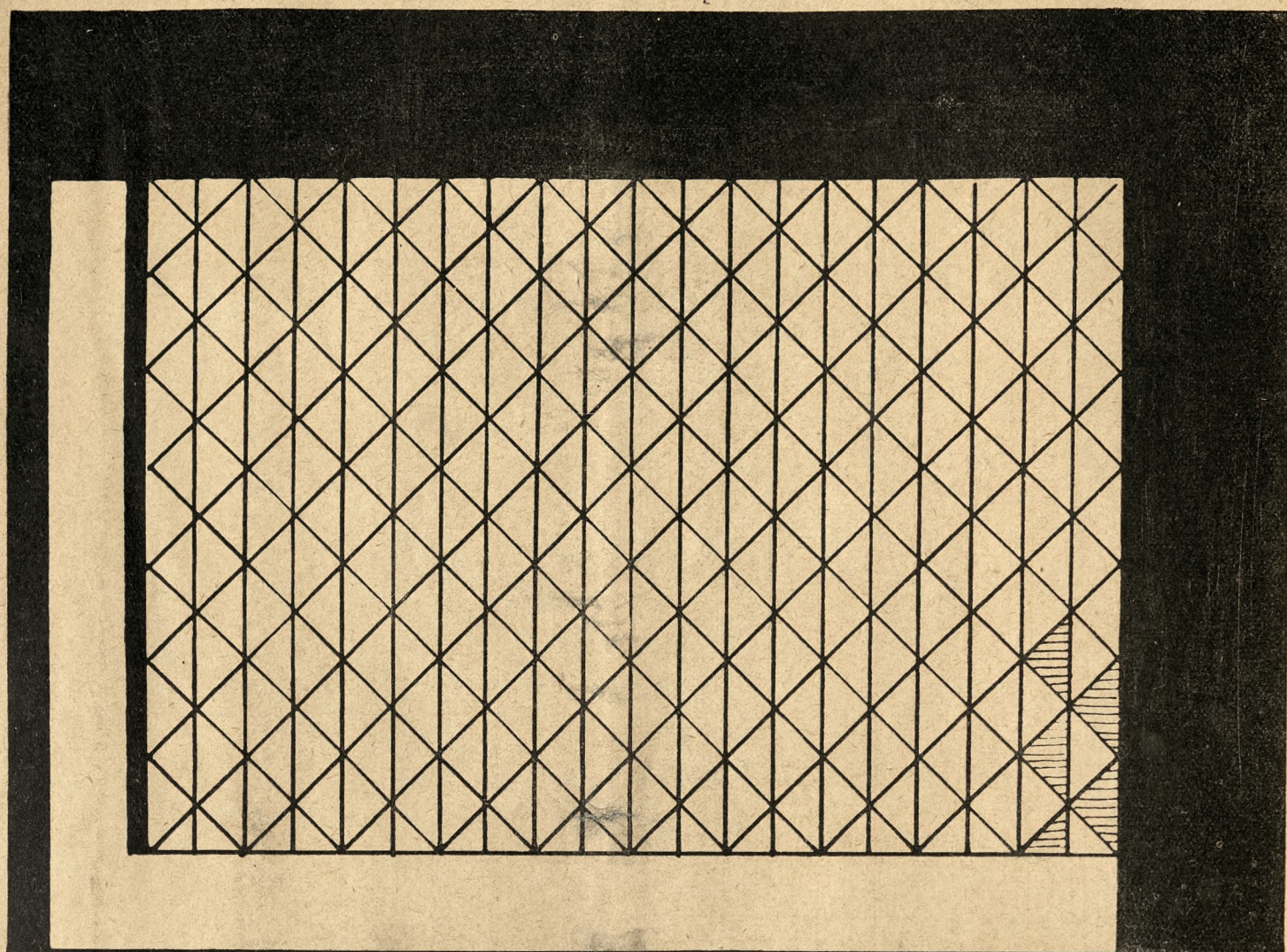
Suknia z czarnego crêpe marocain. Rękawy i karczek kimonowe.
Suknia wizytowa z crêpe mousse, ozdobiona klipsami.



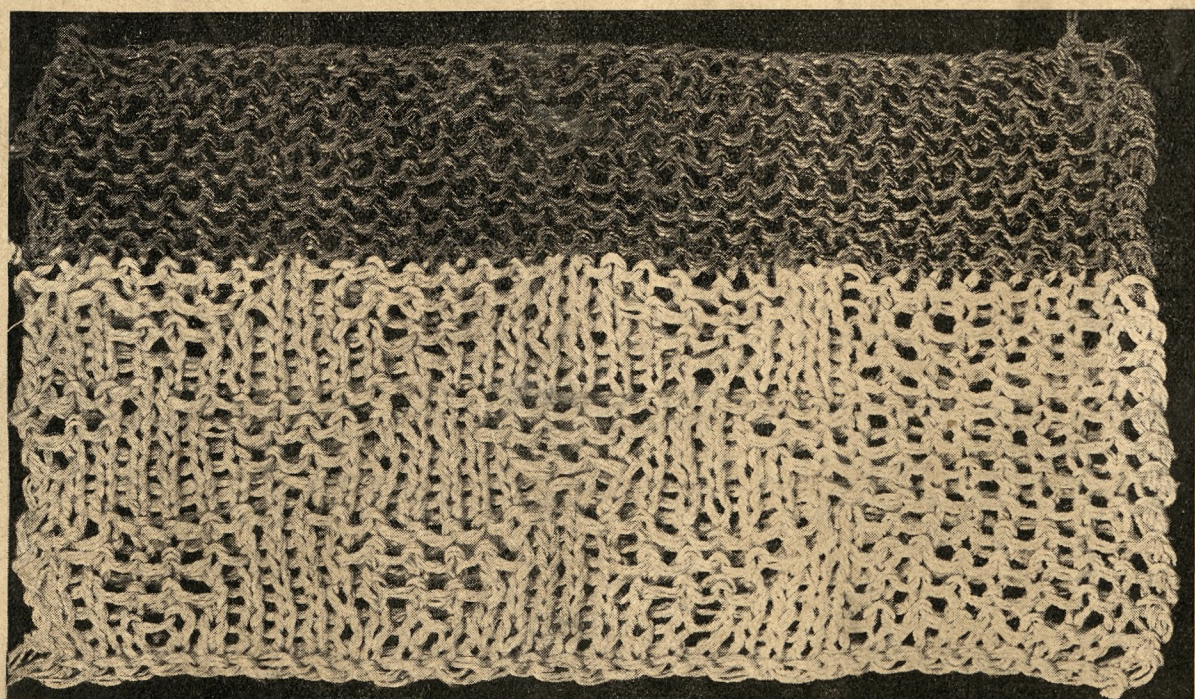
Serwetka wykonana haftem Richelieu.

Róg serwetki wykonany dzierganiem i kropkami.



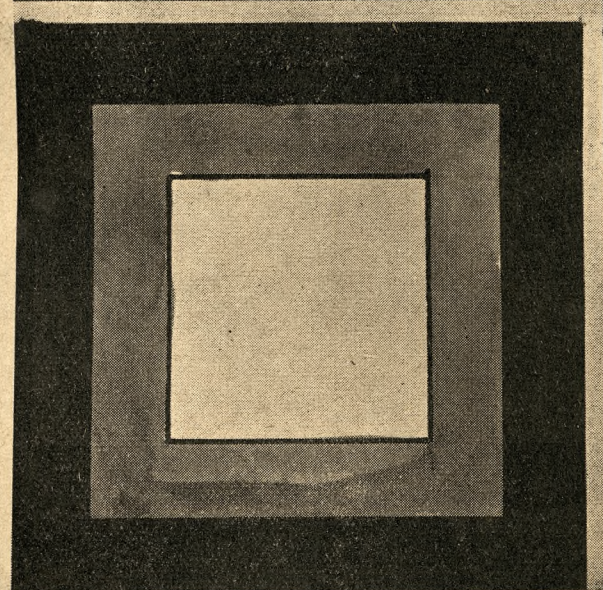
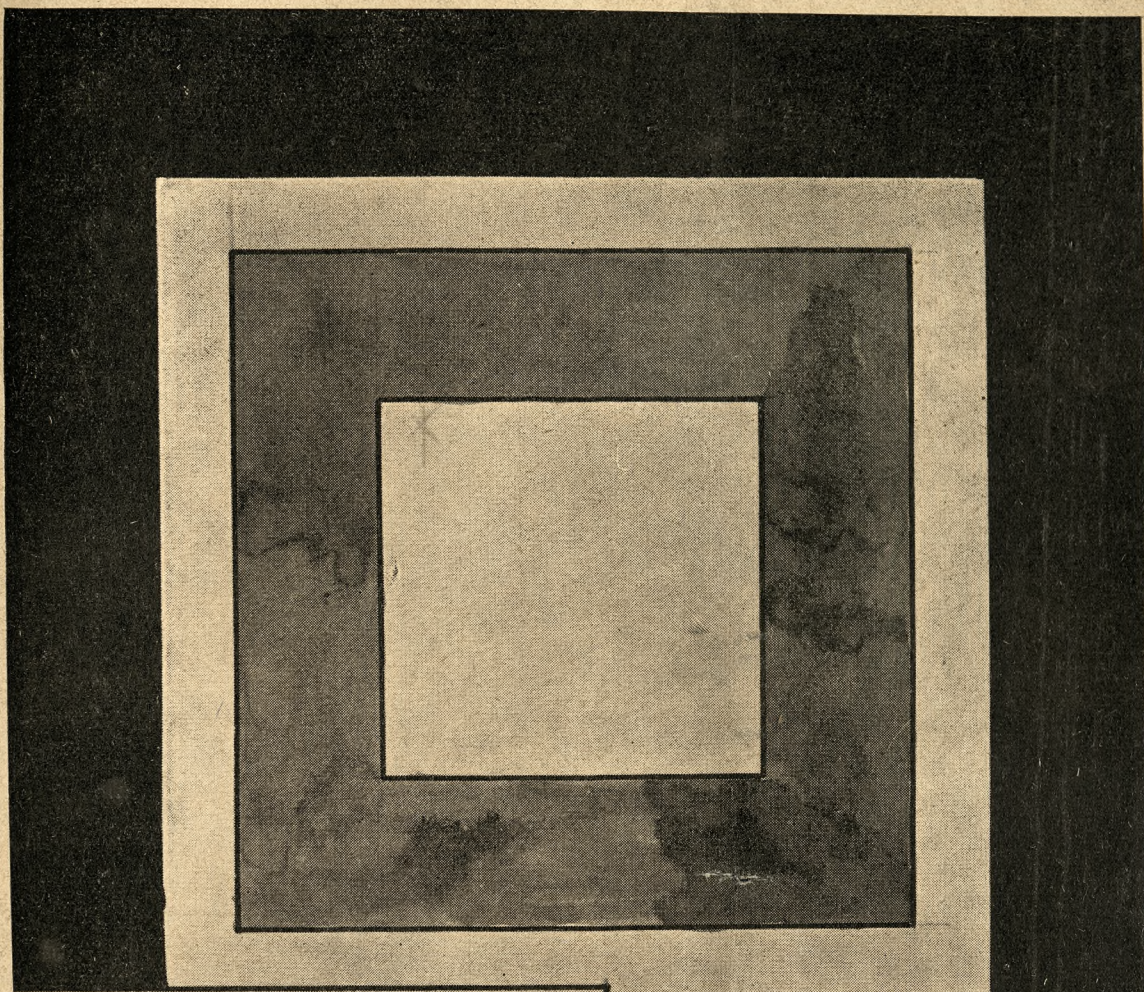


Lniana serwetka. U dołu próbka ściegu. Projekt D Weyssenhoffowej.

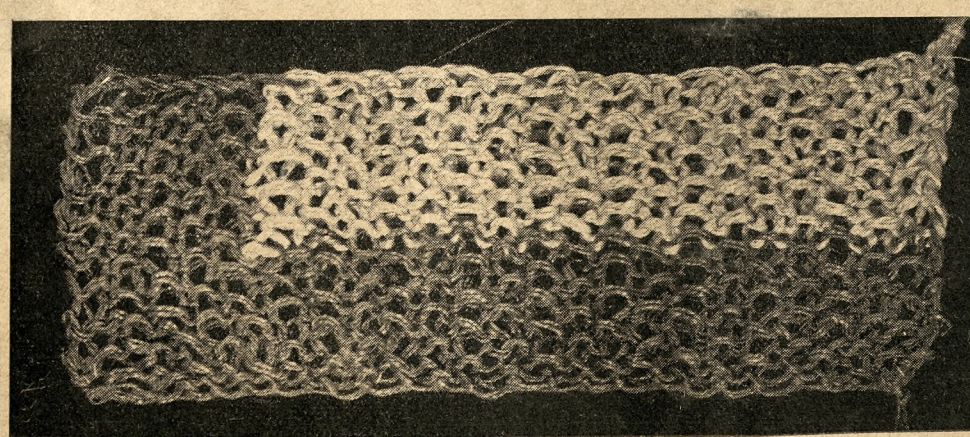


Serwetki śniadaniowe

2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
13
14
15
16
17
18
19
20
21
22
23
24
25
26
27
28
29
30
31
32
33
34
35
36
37
38
39
40
41
42
43
44
45
46
47
48
49
50
51
52
53
54
55
56
57
58
59
60
61
62
63
64
65
66
67
68
69
70
71
72
73
74
75
76
77
78
79
80
81
82
83
84
85
86
87
88
89
90
91
92
93
94
95
96
97
98
99
100



Wykonane są podobnie jak poprzednie serwetki podwieczorkowe. Wymiar 28 × 38 cm. Ściegi: 1) Ścieg ciągły wpravo (brzegi naokoło serwetki); 2) Ścieg w trójkąty (środek serwetki): 1-o rząd i wszystkie rzędy nieparzyste (po prawej stronie roboty) robimy wpravo: 2-o rząd (po lewej stronie roboty) po oczkach wpravo (brzeg) 1 oczko wlewo, 7 oczek wpravo*, 1 wlewo, 7 wpravo i t. p.; 4-o rząd: po oczkach wpravo 2 oczka wlewo, 5 oczek wpravo*, 3 wlewo, 5 wpravo i t. d.; 6-o rząd: po oczkach wpravo 3 oczka wlewo, 3 oczka wpravo*, 5 wlewo, 3 wpravo i t. d.; 8-o rząd: po oczkach wpravo 4 oczka wlewo, 1 wpravo, 7 wlewo, 1 wpravo i t. d. Następny rząd trójkątów będzie mijany jak to wskazują zakreskowane trójkąty na rysunku.



	pomarańcz.
	szary
	zółty
	



Serwetka angielskim haftem na małą tacę. Projekt M. W.